

NAPKOŁO z 1.50 SWIATA

GRUDZIEŃ

Nr. 10

W NUMERZE

BOY

ŻELEŃSKI

MAGDALENA

SAMOSZWANIEC

MARJA

PAWLIKOWSKA

ANTONI

CZECHOW

I INNI

Cena zł. 1.50

w Warszawie, na pro-
wincji, oraz we wszyst-
kich kioskach „Ruchu”



HERBACIANKA OSKARA WOJNOWSKIEGO

Codzienny napój dla
zdrowych i chorych

Nie zawiera teiny i nie rozstraja organizmu.
Ządać w aptekach i składach aptecznych.
Cena zł. 2.50

Brozury p. t.: „Jak leczyć choroby ziołami
leczniczymi”, oraz porady listowne wysyła
bezpłatnie:

BIURO SPRZEDAŻY SPECYFIKÓW OSKARA WOJNOWSKIEGO

Warszawa, Pl. Krasińskich 8,
tel. 11.91-79.

Rozwiązania zadań z Nru 103 „Naokoło Świata”

PIENIĄDZE W BANKU

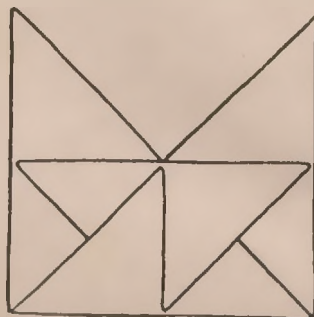
W banku było 1800 zł.

FENOMENALNY SIŁACZ

Maksimum, jakie siłacz może podnieść
w górę, ciągnąc za linkę, równa się jego wła-
snej wadze.

ZADANIE ARYTMETYCZNE

$$\begin{array}{r} * 1 1 \\ 3 3 * \\ * * * \\ 7 7 * \\ * * * \\ \hline 1 1 1 1 \end{array} \begin{array}{r} 100 \\ 000 \\ 005 \\ 007 \\ 999 \\ \hline 1111 \end{array}$$



Styczniowy (105) numer **NAOKOŁO ŚWIATA**
zawierać będzie bogaty materiał ilustracyjny i lite-
racki, przynosząc m. in. rewelacyjne wspomnienia
z pobytu we Francji i w Ameryce znakomitego pol-
skiego batalisty Wojciecha Kossaka

ZAKŁAD PIOTR PETZ KRAWIECKI

Warszawa, ul. Trębacka 3 m. 1

Poleca W P właścicielom majątków, leśniczym, agrono-
mom specjalne kurtki, spodnie i kamizelki myśliwskie.

**WARUNKI NAJDOGODNIEJSZE
SPECJALNY DZIAŁ WOJSKOWY**



Tego jeszcze nie było: ślub w aquoplanie (oczywiście w Ameryce)

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Zima w całej pełni. Odczuwa to nasza cera, którą trudno ustrzec przed zmianami powietrza, mrozem, śniegiem i wiatrami. Radzę więc specjalnie zwracać na to uwagę, aby uchronić twarz i ręce i zachować delikatność i białosć. Do rąk radzę stale stosować *Krem Pralatów*, który wcierać zawsze po myciu rąk, a ręce zawsze będą gładkie i białe. Twarz myć na noc w ciepłej wodzie *otrąbkami Abaridowymi*, i po wytarciu wetrzeć cokolwiek *kremu Abaridowego*, oraz przypudrować *pudrem Abarid*. Jeszcze raz przypominam, że przy stałym użyciu *wyrobów Abaridowych*, twarz zawsze będzie gładką i bez zmarszczek, z odcieniem młodzieńczej świeżości. Rano nie myć twarzy, lecz odświeżyć watą zmoczoną we *wschodnim płynie Mimosa*. Włosów nie myć w zimnej wodą, gdyż łatwo zaziębić skórę głowy, wskutek czego włosy się osłabiają i wychodzą. Do odłuszczenia włosów i wymycia, radzę stosować *puder Florentin*, który wtrzępuje się we włosy, a następnie wyczesuje szczotką i gęstym grzebieniem. Jeżeli jest łupież, to bardzo łatwo go usunąć, stosując płyn *Tetral*, który jest radykalnym środkiem, i już po 2-ch—3-ch użyciach łupież ginie i włosy przestają wychodzić. Wszystkie te środki stosuję już od kilkunastu lat z powodzeniem i śmiało je polecam moim Czytelniczkom, będąc pewną, że wszystkie Panie, które je będą stosować, napewno będą zadowolone z osiągniętych rezultatów.

M-me Ercèdes

NAOKOŁO ŚWIATA

TREŚĆ NUMERU

GWIAZDKA 1933	str. 3
REPORTAŻ z ostatnich tygodni (fotomontaż M. Choynowskiego)	4
BOY-ŻELEŃSKI, Książki z obrazkami	6
CEREMONJE DYPLOMATÓW	12
WKŁĘŚŁODRUKI	17
W 25 LECIE ZGONU STANISŁAWA WYSPIAŃSKIEGO	19
ANTONI CZECHOW, Nieuwaga	20
JERZY RAWICZ, Usta	23
GRYPA	27
MAGDALENA SAMOZWANIEC, Hipolit wierny sługa	28
PING-PONG i SPUSTOSZENIE	31
MARIA JASNORZEWSKA (PAWLIKOWSKA), Ballada o rękawiczce	32
CURIOSA PRZYRODNICZE	33
WKŁĘŚŁODRUKI	35
NASZA KRZYŻÓWKA, 100 ZŁ. NAGRODY	37
MIECZYSLAW CHOYNOWSKI, Model i artysta	38
OPTYMISTA NA BIEGUNIE	42
TADEUSZ GRABOWSKI, Przesady i maskoty sportowców	43
EUGENJUSZ M. SCHUMMER, Akademia szpiegów	49
WKŁĘŚŁODRUKI	53
H. NOWACZYŃSKA, O dzieciach, o modzie, o zabawkach	55
JAN DERENGOWSKI, 30 milionów bezrobotnych	62
J. SURYNOWA-WYCZÓŁKOWSKA, Kobieta i zwierciadło	69
ZYGMUNT CHELMOŃSKI, Od ziemi do krańców wszechświata	73
ROZRYWKI UMYSŁOWE	81
MAŁŻONEK ŁASKAWEJ PANI	82
JAROSŁAW JANOWSKI, Nad książką	84
ODPOWIEDZI GRAFOLOGA	86

Okladka trójkolorowa fot. Metro-Goldwyn

Adres Redakcji i Administracji

„N A O K O Ł O Ś W I A T A”

Warszawa, Zgoda 12, tel. 722-14

Administracja czynna codziennie od godz. 13 do 15

Prenumerata kwartalna w kraju, wraz z przesyłką, wynosi

+ zł. 50 gr., zagranicą 8 zł. 50 gr.

Zeszyt pojedynczy 1 zł. 50 gr.

Rękopisów i fotografii niezamówionych redakcja nie zwraca

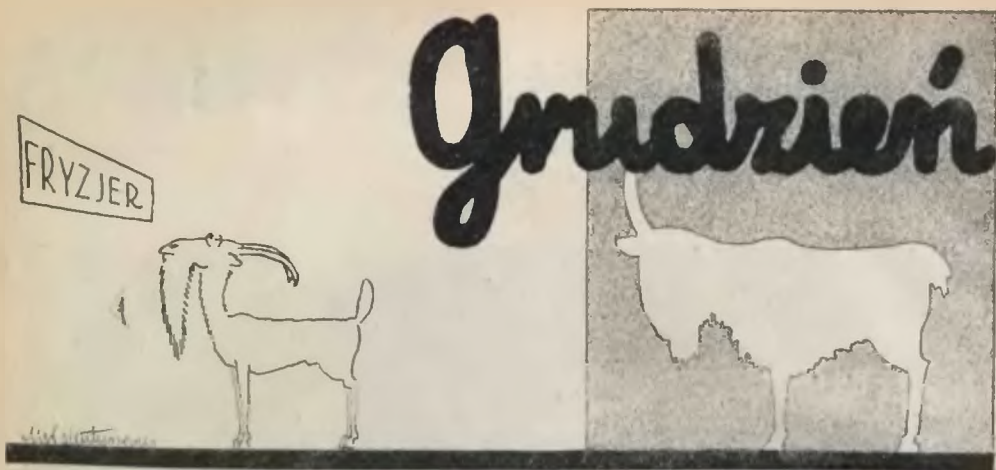
NAOKOŁO ŚWIATA

Nr. 104

GRUDZIEŃ 1932 R.



Pod choinką elektryczny odpowiadający wszelkim wymogom nowoczesności
odbiornik Philipsa typ 930 A.



REPORTAŻ Z OSTATNICH TYGODNI



Olbrzymie zainteresowanie w świecie sportowym wywołał mecz piłkarski Austrii, nieoficjalnej reprezentacji kontynentu z Anglią, posiadającej najdawniejsze tradycje i najwyższą klasę gry w Europie. Mecz zakończył się zwycięstwem Anglików 4:3. Jednakowoż Austriacy w drugiej połowie byli bliscy wyrównania. Skład drużyny austriackiej: Hiden.

Brainer. Sesta. Gall. Smistik. Nausch, Vogl, Schall, Hindelar. Gschweidl, Zischek.



Świat współczesny wygląda jakby miał gorączkę. Katastrofa bezrobocia, demonstracyjne marsze głodnych, których policja odsyła kolejną do miejsc zamieszkania, wreszcie ustawiczne narady polityków nad rozbrojeniem. A obok tego nieustanna praca nad udoskonaleniem broni: nowe typy pancerników, zeppelinów i maszek gazowych—oczywiście niemieckich—bo przecie Niemcy uzyskują równouprawnienie w zakresie zbrojeń z innymi mocarstwami. W siedzibie i kuźni prac pokojowych, w Genewie, wojsko krwawo tłumi rozruchy uliczne. Wiele politycy ciągle podróżują, (nawet wygnaniec Trocki nie może usiedzieć na miejscu), odbywają nieustanne konwentykle. W rekach konferujących dyplomatów, nawet yo-yo nie wygląda na szczerą zabawę. Szczere są tylko tłumy entuzjastycznie się rozgrywkami piłkarskimi: tak przynajmniej było na meczu Anglja-Austria



BOY-ŻELEŃSKI

Książki z obrazkami

Baudelaire (rys. Manet)

Godny uwagi jest wpływ spraw technicznych na sprawy ducha. Na przykład rozwój ilustracji. Ogromna ilość wydawnictw doskonale ilustrowanych, wszystkim dostępnych, pozwala niejako na nowo przeżywać legendy literackie. Więc to było *tam*, tak wyglądał ten pejzaż, ten dom, to mieszkankie; więc takie rysy miała ta kobieta, znana dotąd jedynie z poetyckiej transpozycji... Mity literatury oblekają nowe ciało.

Naprzeciw tym zdobyczom techniki ilustracyjnej wyszła dzisiejsza tendencja biograficzna. Spostrzeżono nagle, że życiorys niezwyklego człowieka, wielkiego pisarza, to jest najciekawsza powieść, do której w potrzebie — i w tem ogromna wyższość bohaterów autentycznych nad bohaterami urojonymi — mogą jako komentarz posłużyć dzieła poety.

I trzeba tu zanotować jeden interesujący paradoks. Im dalej od dnia śmierci, tem bardziej pisarz staje się żywszy, cielesniejszy. To bardzo proste. Co wie ogół — poza najbliższymi — o żyjącym? Nic, albo bardzo mało. Dopiero z biegiem lat gromadzą się i ujawniają dokumenty, listy, wspomnienia, które czynią nam pisarza bardziej znanym, niż nim był nawet dla swoich bliskich.

Przeglądam jedno z takich bogato ilustrowanych wydawnictw, poświęcone Baudelaire'owi. To ów tajemniczy poeta, który czarował i niepokoił

naszą młodość; który tyleż działał przez swą legendę, co przez swoje utwory. Ale mit jego nie miał ciała. Teraz, siedząc przy biurku, obracam kartki owych wyklętych niegdyś, a dziś już klasycznych *Kwiatów grzechu*, a równocześnie, raz po raz, spoglądam w twarze tym, które były natchnieniem poety. Więc tak wyglądała owa czarna *Wenus*, złowroga mulatka, Jeanne Duval, która przez dwadzieścia lat była jego chorobą i nałogiem; a tak znów słoneczna pani jego natchnień, owa Sabatier, której pyszne ciało posłużyło za model rzeźbiarzowi Clesingerowi w jego słynnej *Kobiecie ukąszonej przez węży*. I mimowoli uśmiecham się. Bo te dwie postacie kobiece, to są elementy jednej z najoryginalniejszych tragikomedij miłosnych, jaka zdarzyła się poecie.

Najpierw prolog.

Młody panicz, bawiący się piórem, poróżniony z rodziną (jak Hamlet) na tle ponownego zameścia matki, posiadający wcale solidne konto w banku, zanim dotkliwa i upokarzająca kuratela ograniczy jego fantazje, zaszedł pewnego wieczora do teatryku opodal Panteonu. W sztuczce poprzedzającej właściwe widowisko, zjawia się subretka, która ma do powiedzenia tylko trzy słowa: „dano do stołu”. Wysoka, szczupła, o szerokich biodrach, cera mulatki bardziej żółta niż czarna, bujne, kę-



Pani Sabatier

(rzeźba Clesingera)

dzierzawe włosy tak czarne że aż granatowe, ogromne czarne oczy, schryply głos, taki był rysopis kobiety urodzonej na San Domingo, której widok wywarł na poetę magnetyczne działanie. Następnego dnia był jej kochankiem — niewolnikiem tej kobiety, którą miał wielbić i przeklinać w tylu niezapomnianych wierszach, która stała się jego narkotykiem, wcieleniem uroków Złego. „Cały wszechświat wpakowałabyś do swego łóżka, nieczysta kobietol!” woła. A ona, coraz ocieężalsza, coraz trywialniejsza, głupia, pospolita, patrzyła na niego jak na worek z pieniędzmi, których, od czasu kurateli zwłaszcza, zawsze było o wiele za mało.

Cóż za kochanka, cóż za towarzysza dla tego subtelного poety! Baudelaire chce ją kształcić; napróżno: spotyka się z tępym oporem. Co gorsza, sam zaledwie może pracować w domu, zmuszony jest chronić się przed domowym piekłem po kawiarniach, po bibliotekach publicznych. Obojętna na to co on pisze, uważa go za skrachowanego dyletanta. Złośliwa

jędza truje mu kota, za którym przepadał, a sprowadza do domu psy, których znosić nie mógł. Klóć się, biją, łamią krzesła, napęlniają dom krzykami. Jednego razu, on uderza ją lichtarzem, płynie krew... Wreszcie, doprowadzony do ostateczności, wyprowadza się, ale wciąż utrzymuje z nią stosunki. Co rano zjawia się u niego, postarzała, brzydka, — alkoholiczka i narkomanka — aby wyciągnąć zeń trochę pieniędzy, które dla niej znajduje zawsze. Łzy kręcą mu się w oczach na widok tej ruiny. Do jakichż sposobów ucieka się Baudelaire, aby zdobyć te pieniądze!

Tak płyną lata. Związek ten zaciążył na życiu poety. Skojarzenie tego wytwornego dandysa z czarną plugawą dziewczyną było czymś, co wytrąciło go ze społeczności, uczyniło jego egzystencję czymś pokątnym, ekscentrycznym. Coś podobnego było

„Czarna Wenus”

(Jeanne Duval)

(rys. Baudelaire)





Ch. Baudelaire

i z pozycją literacką Baudelaire'a w owych latach. Ceniony przez znawców sztuki za swoje *Salony*, przez poszukiwaczy nowych dreszczów za swoje przekłady Poe'go, jako poeta był — aż do ogłoszenia *Kwiatów Grzechu* — mało znany, i co gorsza źle znany. Powtarzano po kawiarniach literackich — i on sam je recytował — wyłącznie prawie jego utwory o charakterze drastycznym, perversyjnym; skłonność do dziecinnego „epatowania” przesłaniała wielkiego poetę.

W roku 1852 — Baudelaire miał wówczas lat 31 — przyjaciel jego, Teofil Gautier, wprowadził go do domu, gdzie zbierała się raz na tydzień gromada literatów. Nie była to młodzież literacka, walcząca o swoje jutro; byli to przeważnie ludzie już sławni, jak Gautier, Musset, Sainte-Beuve, Flaubert, Henry Monnier, i inni. Mieszkanko było jasne, wesołe, pełne papug i rajszych ptaków, gospodynią zaś była pani Sabatier — ów model Clesingera — której na- gość, pokazana w całym przepy-

chu na wystawie w roku 1848, stała się potrosze skandalem paryskim. Pani Sabatier, przyjaciółka bankiera Moselmana, *dobry kolega* wszystkich tych poetów, nazywana „prezydentką” przez Teofila Gautier, który pisywał do niej epistoły wierszem, mocno trącające pornografią. Taka też była i rozmowa w tym salonie, przy tym obfitym stole, któremu prezydowała piękna gosposia o niemniej obfitych kształtach, naturalna, prosta, nieco rubaszna, tryskająca zdrowiem — „zdrowem gminu”, jak to określił Edmund Goncourt, który jej nie lubił.

Tam zaczął bywać Baudelaire. Nieśmiały, drażliwy, niezbyt lubiany był w tym aż nazbyt naturalnym salonie, od którego odbijał swoją wymęczoną trochę żądzą oryginalności. I stała się rzecz osobiwa: poeta zakochał się jak student w pani Sabatier. On, więziony przez zmysły w niezdrowej hipnozie murzyńskiej, może przez kontrast znalazł w tych rubensowskich kształtach idealny przedmiot dla miłości platonicznej? Może jego niewyżyty „kompleks matki” znalazł swoje rozwiązanie w tem dziecięcym niemal, naiwnem uwielbieniu? Pani Sabatier stała mu się ideałem, aniołem stróżem, muzą, madonną. Wiersze jego do niej odbijają od zwykłych jego posepnych natchnień, są jasne, słoneczne; czasem jedynie barwią się rumieńcem drapieżnej namietności. Miłość tę tał najstaranniej; lękał się może instynktownie tej kobiety tak prostej i zdrowej, bał się, że mu się w nos rozśmieje. Onieśmiała go może jej bujna uroda... Ale zaczął do niej pisywać anonimowo, zmienionem pismem. listy, będące strzelistemi aktami miłości, oraz przysyłać jej wiersze. Trwało to pięć lat, przez które można powiedzieć, że tworzył tylko dla niej i pod jej wezwaniem.

Wszystko to pod najściślejszą tajemnicą. Będąc stałym gościem salonu pani Sabatier, najmniejszym gestem nie zdradził, że on jest autorem tych hymnów miłosnych, które otrzymywała regularnie.

Czy pani Sabatier domyślała się, kto jest jej tajemniczym korespondentem? Zapewne; ale nie zdradziła się z tem. Bawiły ją może hołdy tego dziwaczego, niezbyt sympatycznego jegomościa, ale nie myślała z nich wyciągać konsekwencji; wołała udawać, że nie wie o niczem. Ta ciuciubabka trwała lat pięć.

Ten idealno - epistolarny stosunek mieści się w życiu poety obok tamtego związku, który uważał za swoje hanbiące jarzmo, za swoje nieszczęście. I kiedy, w pełni jego miłości do pani Sabatier, przyszło do zerwania z czarną *Wenus* — i to do zerwania z jej strony — Baudelaire wpada w rozpacz. Wiemy to z listów jego do matki. „Ta kobieta — pisze — była moją jedyną rozrywką, moją jedyną przyjemnością; mimo wszystkich wstrząsów i burz, nigdy myśl o sta-nowczem rozstaniu nie powstała w mojej głowie. Jeszcze teraz, łapię się na tem, że, kiedy widzę coś ładnego, jakiś ładny krajobraz, cośkolwiek miłego, myślę: czemu niema przy mnie jej, aby podziwiać to ze mną, aby kupować to ze mną?...”

Pod wpływem tego zerwania, Baudelaire przez dziesięć dni nie śpi, żąda opium, dostaje nerwowych wymiotów, musi się kryć przed ludźmi, bo nie może powstrzymać ciągłego płaczu... Oto w jaki sposób plotą się skomplikowane miłości poetów.

Tak oto żyje, udręczony, w podwójnej mocy, demona i anioła; anioła z masywnymi skrzydłami u pysznych ramion. To było w r. 1856. Naraz, w rok potem, wybucha fakt, który daje nieoczekiwany zwrot jego idealnej miłości. W tym roku ukazał się zbiór jego poezyj, pod tytułem, który miał wyrzucić się pamiętnymi głoskami w dziejach literatury: *Les fleurs du mal*. Książka ta stawia wreszcie Baudelaire'a na właściwym miejscu; objawia Francji wielkiego i rzadkiego poetę. Ale równocześnie wybucha skandal: ten tom wierszy staje się przedmiotem klasycznego sądowego pościgu za „obrazę moralności”.

Fakt ten jest dla pani Sabatier podwójnem wstrząśnieniem. W książce, o której mówi cały Paryż, znajduje ona wszystkie wiersze, które przesyłał jej od pięciu lat nieznaną wielbić; i wiersze te, to są perły jego zbioru. Ba, więcej jeszcze: dwie z owych poezyj znajdują się między temi, które miały zaszczyt ściągnąć na siebie uwagę pana prokuratora... Cóż za olśnienie! Ona, kobieta (jak na owe czasy) dojrzała, utrzymanka bankiera, traktowana dość bezceremonjalnie przez swoich niedzielnych gości, jest tą nieśmiało uwielbianą muzą sławnego poety! I to poety, którego miłość zwiastuje kobiecie jakże rzadkie, pełne obiecujących perwersyj wzruszenia! Upojona, szczęśliwa, pani Sabatier aż drży do tego, aby się znaleźć w ramionach *swego poety*, aby nagrodzić jego wierną i nieśmiałą miłość. Da mu szczęście, — o tem nie wątpi ani na chwilę.

„Pod wpływem haszyszu”. Autoportret Baudelaire'a (na tle kolumny Vendôme)





„Kobieta ukąszona przez węża”

(rzeźba Ciesingera)

„Mogę ci powiedzieć — pisze — bez obawy abys mnie pomówił o przesadę, że jestem najszcześliwszą z kobiet: nigdy lepiej nie czułam że cię kocham, nigdy nie wydałeś mi się piękniejszy, godniejszy uwielbienia mój aniele... Zrobisz ze mną co zechcesz, ale jestem twoja, duszą cię...”

Tak pisze do człowieka, którego widywała obojętnie przez pięć lat.

I oto miłość ta, za którą poeta byłby oddał życie, póki była niedościgłą chimera, obecnie, w swojej realnej postaci, przeraża go, zaskakuje go nieprzygotowanego:

„Kilka dni temu — odpowiada jej — byłaś bóstwem: to takie wygodne, takie piękne, niewzruszone... Teraz jesteś kobietą!...”

Słowem, wycofuje się, rozszczepia włos na czworo; nie wierzy (powiada), nie ufa kobietom. Ona zapomni o nim — pisze — zdradzi go; boi się cierpieć z jej powodu...

Pani Sabatier, nawykła do większej decyzji w uczuciach, uważa to wszystko za banialuki. Podejrzewa co innego:

„Uciekasz przed moją pieszczotą, myślisz o tamtej, której czarna dusza i czarna twarz staje między nami!... Cóż za komedję, a raczej coś za dra-

mat gramy? To za wiele subtelności dla takiej prostaczki jak ja...”

Ale ta doświadczona osoba wie, że miłości nie robi się przez korespondencję. Wdziera się do jego pokoju i rzuca mu się poprostu na szyję. Co się działo w duszy poety, kiedy uczył na swojej piersi te wspaniałe, tak macierzyńskie, tylekroć w strzelistych hymnach uwielbione wdzięki, — nie wiemy; tyle jest pewne, że nic z tego „nie wyszło”. Szamocą się tak oboje przez kilka dni w fałszywej sytuacji; Baudelaire, zdjęty panicznym lękiem, unika wszelkiego sam na sam. Wreszcie pani Sabatier, która czuje się tą abstynencją swego poety „poniżona i upokorzona” i która, „gdyby nie szacunek dla samej siebie, nawymyślałaby mu”, odzyskuje wrodzone poczucie równowagi i humoru, parska śmiechem i proponuje mu — przyjaźń. Ona wraca do swoich niedzielnych gości, aby dalej przydywować ich rubasznym biesiadom, pożegnawszy się z marzeniem o sobie jako o Muzie poety; bo, na domiar nieszczęścia, stawszy się z marzenia rzeczywistością, straciła moc zapładniania jego wyobraźni. On wróci do swoich poniżających amorów; ten autor aforyzmu: „kobieta jest naturalna, tem samem

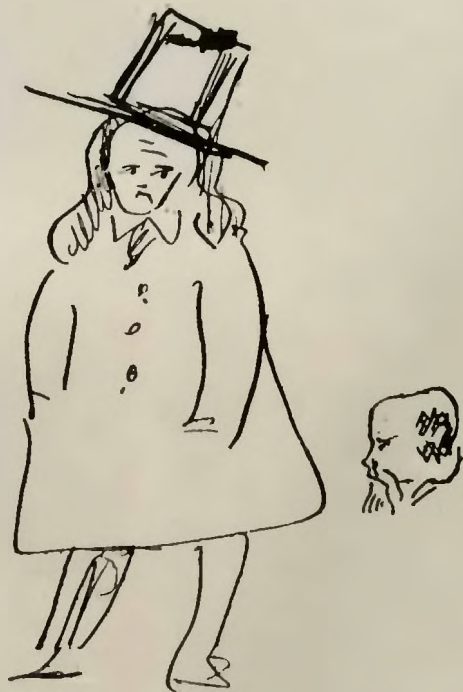
ohydna", niezdolny może był odczuć czar kobiecej urody, o ile nie był zaprawny posmakiem zgnilizny.

„Przykre w miłości jest, że jest to zbrodnia, w której nie można się obejść bez współnika”. — „O czym kobiety mogą mówić z Bogiem?” — „Kobieta nie umie oddzielić duszy od ciała. Jest symplistką, jak zwierzęta”.

Oto parę aforyzmów Baudelaire'a. A w końcu ta zwięzła notatka: *„O konieczności bicia kobiet”.*

Obawiamy się, że z panią Sabatier, w razie gdyby przyszło do bicia, poeta nie byłby górą...

Weźcie do ręki *Les fleurs du mal*. Odczytajcie te najpiękniejsze wiersze, a znajdziecie w nich nowy smak, oglądając równocześnie z niepokojem tryumfalne kształty *kobiety ukąszonej* (a raczej w tym wypadku nie ukąszonej) *przez węża*. Oto pożytek książek z obrazkami.



Baudelaire w karykaturze rysowanej przez Verlaine'a
(po prawej głowa Verlaine'a)



Ceremonie dyplomatów

Niema chyba ludzi, którzyby bardziej niż dzicy przestrzegali zasad etykiety. Gdy się dwóch Tuaregów spotka przypadkiem na Saharze, ujrzawszy się nawzajem z wielkiej nawet odległości, zatrzymują wierzchowce, zeskakują z nich, siadają na piasku i składają sobie poklony, a lancą i tarczą ze skory gazelli czynią ruchy i znaki, przypominające raczej jakiś obrząd rytualny aniżeli akt powitania. Nie ośmieliliby się zbliżyć do siebie bez odprawienia tego ceremoniału, służącego w dość dziwny sposób do zawarcia znajomości. M. Masqueray, będący swego czasu profesorem literatury w Algierze, opowiadał, że wróciwszy w roku 1899 do Paryża, przywiózł ze sobą młodego Tuarega i oprowadzał go po mieście i Wystawie Powszechnej. Człowiek ten oświadczył, iż ze wszystkich widzianych rzeczy najbardziej zdumiewające jest to, co widział na ulicy. Nie mógł zroz-

mieć bowiem, jak można chodzić pośród tłumu obcych ludzi bez zachowania specjalnych środków ostrożności i bez broni. Nasuwa to podejrzenie, że źródłem przesadnych grzeczności i ceremoniałów w jego rodzinnym kraju jest poprostu strach.

Prawdopodobnie jest tak nie tylko w stosunkach ludzi prywatnych, lecz i w międzynarodowych. W biblii na przykład „Księga Królów” opowiada o nieublaganej zemście, jaką Dawid wywarł na Moabitach, którzy znieważyli jego wysłanników. Również kiedy jeden z azjatyckich królów, jakiś Farnas czy Antiochus przyjmował na dworze swym posłów senatu rzymskiego — w oznakach szacunku, jakim ich otaczali więcej było obawy i strachu, aniżeli uległości i pokory.

I tak powoli przyjął się zwyczaj otaczania przedstawicieli obcego państwa najwy-



szukanszemi objawami grzeczności i czolobitności. Kiedy zaś poselstwa zamieniły się na stałe przedstawicielstwa, to co było dotychczas zwyczajem, stało się odtąd prawem. W ten sposób powstał cały ceremoniał dyplomatyczny. Jest to dziś rodzaj obrzędu religijnego, ma on swoje praktyki i swe tajemnice.

Ambasadorów przedstawiają zazwyczaj ministrowie. Urząd ich jest pełen trudności i niebezpieczeństw, nie jest bowiem łatwo nadawać pozory rzeczywistości temu, co

w istocie swej jest tylko próżnością i starać się przytem, aby nie zadrasnąć niczyjej miłości własnej. Potrzeba na to dużej umiejętności i nie byle jakiego sprytu.

Z tych wszystkich, których poznałem przy spełnianiu tej czynności — opowiadał znany dyplomata francuski, Jules Cambon, jeden z ambasadorów Francji — najbardziej mi swą powagą, godnością i przejęciem się włożonemi na niego obowiązkami zaimponował markiz del Zarco, sprawujący swój urząd na dworze hiszpańskim. Był to człowiek uważ-





ny i gorliwy, punktualny i dokładny aż do pedanterji, nie zapominający o niczem, coby mogło ułatwić wzajemne poznanie się i zbliżenie, mający dużo przyjaciół i rozporządzający niewyczerpanem bogactwem anegdot. Był on rzeczywiście niezrównany i w zupełności zasługiwał na powiedzenie króla Alfonsa XII, iż z całego wszechświata opatrność jego właśnie wybrała, jako najbardziej nadającego się, na to stanowisko.

Dziś, naturalnie, kanony tego dworskiego ceremonjału wydają się nam trochę przestarzałe. Jednakże w tych uroczystych obrzędach nie wszystko jest tak zupełnie pozbawione sensu. Urzędnicy obcokrajowi są przedstawicielami władzy wyższej niż oni sami i wszelkie oddawane im honory odnoszą się do tej wyższej, kryjącej się poza nimi, osoby. Należy również i na to zwrócić uwagę, że ceremonjał nie rozróżnia narodu zwycięskiego od narodu zwyciężonego i że nakłada obowiązek wzajemnej kurtuazji wrogim sobie narodowości.

Niegdyś, gdy ambasador obejmował swe stanowisko, przyjmowany był z wielkimi aroczystościami. Musiał on przedewszystkiem urządzić, jak to nazywano, swój pierwszy występ. Wszyscy ambasadorowie jechali

po niego karetami i zawozili kolejno do siebie, co było najczęściej powodem wzajemnych uraz i nieporozumień, gdyż każdy z nich chciał być pierwszym. Historia dyplomacji jest przepelniona takimi sporami o mało ważne, w gruncie rzeczy, pierwszeństwo. W roku 1661 w Londynie, gdy ambasador Szwecji objął swe stanowisko, widziano ludzi hrabiego de Watteville, ambasadora Hiszpanji, klócących się zawzięcie z lokajami hr. d'Estrades, ambasadora Francji. Pocięto uprząż w pojazdach, schwycono za broń i ostatecznie wielu Hiszpanów, Francuzów i Anglików zostało rannych lub zabitych. Obecnie, dzięki Bogu, już się takich widowisk nie urządza, gdyż obyczaje nasze na to nie pozwalają — a również może i dlatego, że w naszych czasach ambasadorowie, jak zwykli śmiertelnicy, udają się na swe placówki koleją. Również i kongres wiedeński przyczynił się do ustalenia porządku w sprawach pierwszeństwa i to, być może, będzie postanowieniem, które przetrwa wszystkie inne. Ambasadorowie zasiadają według ilości lat, jakie upłynęły od daty ich przybycia na zajmowane stanowisko i ten, co przybył najwcześniej, przemawia na zgromadzeniach w imieniu wszystkich pozostałych. Ze-



by zakończyć tę nudną dosyć kwestję etykiety, warto przypomnieć, iż ambasadorom przysługuje tytuł „Ekscelencji”. Jest to zwyczaj ogólnie przestrzegany, a pochodzący z Włoch jeszcze z końca XVI wieku. Francuzom najtrudniej było się do tego przyzwyczaić, podczas gdy w Rzymie, Madrycie i na dworach niemieckich zwyczaj ten przyjął się bardzo prędko.

Obecnie, gdy urzędowanie ambasadora ma się ku końcowi, doręcza mu się tylko list z odwołaniem, podczas gdy dawniej było to połączone ze zwyczajem wręczania kończącemu swą służbę dyplomacie wspaniałych prezentów.

We Francji na przykład, gdy żegnano ambasadora weneckiego, król pasował go na rycerza i wręczał mu swą szpadę. Prócz tego darowywał mu jeszcze srebrne naczynia oraz własny portret, ozdobiony brylantami. Uważano wówczas, że równą niegrzecznością jest nieofiarowanie prezentu jak i odmowa przyjęcia. Gdy kardynał d'Ossat opuszczając Wenecję chciał zerwać z tym zwyczajem i uniknąć przyjęcia prezentu, zwrócono mu natenczas uwagę, że obraziłby tem bardzo Rzeczpospolitą wenecką. Wenecja bowiem była drażliwa na tym punkcie do tego stop-



nia, że nawet przeprowadzono specjalne śledztwo, gdy jeden z ministrów powrócił z misji ambasadorskiej bez żadnego zwyczajowego podarunku.

Niekiedy jednak zdarzają się i mniej przyjemne zakończenia misji dyplomatycznych; nieraz bywały wypadki odwoływania ambasadorów na prośbę goszczących go władz państwowych.

Wypadek taki spotkał lorda Sakville, ambasadora Wielkiej Brytanji w Ameryce. W przeddzień wyboru prezydenta miał on nieostrożność napisać do jednego ze swych korespondentów, donosząc mu swę spostrzeżenia o niektórych kandydatach. List ter —

całkiem prywatnej natury — został zupełnie niespodziewanie dla jego autora opublikowany. Władze państwowe Waszyngtonu, oburzone na niedyskrecję ambasadora, zażądały w Londynie natychmiastowego jego odwołania.

Stosunki dyplomatyczne może naruszyć wypowiedzenie wojny. W takim wypadku szczególnie nie było przyjemne stanowisko ambasadora w Turcji, gdyż do końca XVIII wieku sultan bez ceremonii umieszczał ambasadorów wrogich państw w zamku Siedmiu Wież, który do złudzenia przypominał więzienie. Wenecjanie siadali tam czasem po kilka lat, jeden z nich w zamku tym nawet zmarł. Podczas wojny kreteńskiej w roku 1646 ambasador Francji, p. Haye-Vautelet został wtrącony do więzienia i tam obity

kijami. Jeszcze okrutniejszy względem konsula Francji, p. Levacher okazał się bej Algeru. Pewnego dnia bowiem rozkazał on przywiązać go do lufy armatniej... Władze chrześcijańskie bywały nieco łagodniejsze. Ludwik XIV był nawet czasami przesadnie ugrzeczniejszy. W dniu ogłoszenia wojny z Prowincjami Niderlandzkimi rozkazał, aby we wszystkich miastach, przez które będzie przejeżdżał ambasador Piotr de Groote, aż do granic Francji, oddawano mu wszelkie honory i słuchano jego rozkazów. Od tego czasu władze europejskie starają się zawsze w razie wypowiedzenia wojny otaczać troskliwą opieką nieprzyjacielskich ambasadorów, ułatwiać im wyjazd, zapewnić wszelkie możliwe wygody i jak największe bezpieczeństwo.



DO NABYCIA W SKLEPACH
FRANBOLI i ARABIA



fol. Henryk Hermanowicz, Wilno

Sople



Fig. 101. Z. Zaborczyk

Przed zmarzniętą szybą

ko, koścista, piegowata i w papilotach, podreptała boso w stronę kredensu.

— Któż to panu pozwolił? — zapytała surowo, oglądając wnętrze kredensu — Dla pana wódka tam postawiona?

— Ja... ja Daszeńko nie piłem wódki, tylko naftę... — wyjąkał Stryżin, ocierając zimny pot.

— A poco pan ruszał naftę? Czy to pańska rzecz? Dla pana była schowana? A może według pana nafta nic nie kosztuje? Co? A wie pan co kosztuje litr nafty? Wie pan?

— Droga Daszeńko — jęknął Stryżin — tu idzie o życie i śmierć, a pani o pieniądze!

— Urznął się i wsadza nos do kredensu — krzyknęła Daszeńka, zatraskując ze złością drzwiczki. — Pomsty na was niema dręczyciele! Dola moja nieszczęsna, spokoju ani w dzień ani w nocy! Sardanapale, Herody przeklęte, ażebyście na tamtym świecie mieli takie życie! Jutro się przeprowadzam. Jestem panienką i nie pozwalam panu stać przede mną w białizni! Niech się pan nie ośmiela patrzeć na mnie, kiedy jestem nieubrana!

Widząc, że rozgniewanej Daszeńki nikt nie zdoła uspokoić ani prośbą, ani groźbą, ani nawet strzelaniem z armat, Stryżin machnął ręką, ubrał się i postanowił pójść do doktora. Ale doktora znaleźć można łatwo tylko wtedy, gdy się go nie szuka. Przeszedłszy trzy ulice, po pięciokrotnym dzwonieniu do doktora Cepharianca i siedmiokrotnym do doktora Bułtychina, Stryżin pobiegł do apteki: a nuż coś poradzą! W aptecce po długim wyczekiwaniu zjawił się ni ziutki, ciemnowłosa, kędzierzawy farmaceuta w fartuchu z tak poważnym i mądrym wyrazem twarzy, że się nawet zrobiło strasznie.

— Pan sobie życzy? — zapytał tonem, jakim mogą mówić tylko bardzo mądrzy i solidni farmaceuci mojąszowego wyznania.



— Na miłość boską... proszę pana — przemówił zadyszany Stryżin — proszę mi dać cośkolwiek... tylko co, przez nieuwagę napiłem się nafty! Umieram!

— Proszę się nie denerwować i odpowiadaj mi na pytania, które będą panu zadawał. Już ten jeden fakt, że pan się denerwuje nie pozwala mi pana zrozumieć. Pan wypił naftę? Tak?

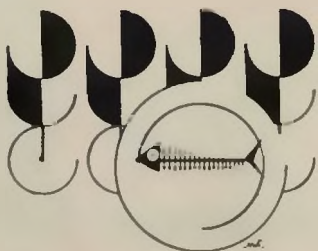
— Tak, naftę! Niech mnie pan ratuje!

Farmaceuta, nie spiesząc podszedł z powagą do pulpitu, otworzył księgę i zagłębił się w czytaniu. Przeczytałszy dwie strony, wzruszył jednym ramieniem, potem drugim, zrobił pogardliwą minę i pomyślawszy chwilę, wyszedł do sąsiedniego pokoju. Zegar wybił czwartą. Gdy wskazówki pokazywały kwadrans na piątą, farmaceuta powrócił z inną księgą i znowu pograżył się w czytaniu.

— Hm... — wyrzekł wreszcie, jakby nie mogąc nic zrozumieć — już ten jeden fakt, że pan czuje się niedobrze, wymaga, żeby się pan zwrócił do doktora, a nie do apteki.

— Ale ja już byłem u doktorów! Nie mogłem się dodzwonić!

— Hm... Państwo nas farmaceutów nie uważacie za ludzi i niepokoiacie nas nawet o czwartą zrana, kiedy każdy pies, każdy kot ma spokój. Państwo nie chcecie nic ro-



zumieć i według was my nie jesteśmy ludzie, mamy nerwy jak sznurek.

Strzyżin wysłuchał farmaceuty, westchnął i poszedł do domu.

— Sądzone mi widocznie umrzeć... — myślał.

A w ustach paliło i pachniało naftą, w żołądku rżnęło, w uszach dzwoniło: Bum, bum, bum... Zdawało mu się, że to już koniec, że serce już nie bije.

Przyszedłszy do domu napisał pośpiesznie: „proszę nie obwiniać nikogo z powodu mojej śmierci”, potem pomodlił się, położył i wciągnął kołdrę na głowę. Do rana nie spał, czekając śmierci i wciąż mu się majaczyło jak jego grób porasta młodą trawą i jak nad nim ptaszki szczebić.

A rano siedział na łóżku i uśmiechając się mówił do Daszenki:

— Temu, kto prowadzi prawidłowe, regularne życie, droga kuzynko, nie da rady żadna trucizna. Ot, choćby ja, na przykład! Byłem na skraju przepaści, konałem, męczyłem się, a teraz nic! W ustach tylko trochę mnie pali i w gardle drapie, a całe ciało zdrowe, chwała Bogu. A dlaczego? Dlatego, bo prowadzę regularne życie.

— Nie, to znaczy, że nafta była w złym gatunku — wzdychała Daszeńka, myśląc o wydatkach i patrząc w jeden punkt. — Znaczy, że sklepikarz dał mi nie tej lepszej, tylko tej co półtóry kopiejki litr. Męczennica jestem nieszczęsna, Herody wy przekłete, ażebyście na tamtym świecie takie życie mieli...

I ter... ter... ter... ter... i ter... ter... ter... ter...

Przełożyła Iza Glinka



(Rysunki M. Walentynowicza)

Należy zawsze pamiętać o tem,

że Aspirina istnieje tylko jedna! Wprowadzie w handlu znajduje się wiele naśladownictw, ale jest to tylko dowód dobroci oryginalnego preparatu. Oryginalna Aspirina z wytłoczonym krzyżem BAYER daje gwarancję jakości, czystości i nieszkodliwości preparatu.

Aspirina istnieje tylko jedna! Do nabycia w aptekach.

JERZY RAWICZ

U S T A



Usta w znacznym stopniu stanowią o wyrazie twarzy ludzkiej i często na podstawie ich wykroju można wysnuwać pewne wnioski, dotyczące fizjognomiki.

Zresztą, nie tylko ludzkiej! Wystarczy przyrzeć się młodemu szympan-sowi: doznania gniewu, rozkoszy, trwogi, malują się wyraziście na jego „twarzy”, i to głównie w zależności od układu warg. Wraz z wiekiem rozwina się mięśnie jego pyska i życie emocjonalne zaakcentuje się w sposób jeszcze bardziej dobitny.

Umiejętna tresura zmusza zwierzę do panowania nad odruchami. Ten sam proces można zaobserwować i u człowieka: gdyby nie pewien stopień kultury, usta byłyby w stanie ciągłej ruchliwości, mięśnie w stanie nieustannego napięcia pod wpływem podnieć. Zresztą, wystarczy cierpienia bądź fizycznego, bądź moralnego, wystarczy zatrucia wskutek alkoholu, by człowiek stracił kontrolę nad ustami.

To też umiejętność panowania nad wyrazem twarzy, a w szczególności nad wyrazem ust była ideałem starożytności. Znana jest historia o Mucjuszu Scaevoli, którego nawet syk palącego się, żywego własnego ciała nie zmusił do zmiany spokojnego wyrazu twarzy. Mniej znana — o młodym Spartaninie, który skradł małego liska i ukrył go pod tuniką. Zwierzę wgryzało się w pierś chłopca, a mimo to ani jeden mięsień na jego twarzy nie zdradził bólu, jakiego doznawał.

Kamienny spokój, zastygła posągowość twarzy — oto miara człowieka, którą się posługiwali starożytni. Mi-

miki nie ceniono sobie wysoko — nawet tam, gdzie dziś święci niezaprzeczane triumfy: w teatrze. Teatr starożytności upraszczał ekspresję. Ulatwiała mu ją odległość widza od sceny, daleko większa, niż na dzisiejszej widowni. Aktorzy starożytni nosili maski, uosabiające uczucia, które mieli wyrażać. Tak więc naprzykład, chcąc przedstawić przerażającą siłę, wkładali aktorowi na twarz maskę z wysuniętym groźnie językiem, z wyszczerzonymi zębami, o wyrazie ust okrutnym i straszliwym (maska Meduzy).

Po łacinie słowo *persona* pierwotnie oznaczało maskę. Dopiero w miarę czasu wyraz ten oderwał się od konkretnej treści i począł oznaczać indywidualność, całego człowieka. W każdym razie — ta identyfikacja maski, a więc wyrazu twarzy, z człowiekiem — jest nader znamienna.

Mechanizm różnorodnej wyrazistości ust ludzkich tłumaczy się tem, że mięśnie warg i policzków są posłuszne obfitemu unerwieniu, złożonemu z nerwów czuciowych i ruchowych. Mięśnie te zezwalają na poruszanie wargami we wszelkich kierunkach: rozszerzają je, zwężają, wydłużają, ściągają w zależności od myśli, uczuć. Usta kurczą się z bólu, zaciskają wskutek gniewu, zwierają energicznie, wydymają pogardliwie, ściągają kokieteryjnie w mądryk. Wyrazistość ust jest tak wielka, że głuchoniemi potrafią z ich układu odczytać słowa, które los poskapił im usłyszeć.

Żadna z innych części twarzy, jak czoło, nos, uszy nie zależy od doznawanych wrażeń, ani wyraz ich nie



może być tak kierowany wolą, jak to się dzieje z ustami. To też umiejętność opanowania ich odruchowych reakcji, stanowi pierwszorzędną kwalifikację do kariery... dyplomatycznej.

Voltaire powiada: „Ludzie tworzą prawa po to, by je gwałcić, i co gorsza, gwałcą je z całą świadomością. Posługują się myślą, by usprawiedliwić swe nieprawości, posługują się słowami, by ukryć swe myśli”.

*

Usta, jak to wskazuje łaciński wyraz *os*, oznaczają otwór. „Otwór”, — jak żartuje Rabelais — „przez który wchodzi smaczne kęsy i wychodzą mądre słowa”.

Otwór ten jest zarysowany przez kontury warg, wargi dolnej i górnej. Wykroj warg odpowiada stopniowi ich rozwoju. Normalnie obie wargi stykają się ze sobą, usta są zamknięte. Górna warga winna, w myśl kanonów estetyki, odrobinę wystawać ponad dolną.

Kształt ust bywa rozmaity, i na podstawie ich formy i wielkości można w przybliżeniu wnioskować o charakterze, usposobieniu i zdolnościach umysłowych danej osoby. Tak więc:

1. Usta zbyt małe dowodzą głupoty, ograniczenia. Usta szerokie wskazują na ludzi inteligentnych, myślicieli, artystów. Tem niemniej często małe usta, świadczą o subtelności, o dyspozycji do uczuciowości, — natomiast usta zbyt szerokie, popularnie mówiąc, „od ucha do ucha”, wskazują na pospolitość.

2. Usta zaciśnięte—to oznaka skupienia, skłonności do koncentracji, do rozmyślań. Są to usta ludzi ostrożnych, refleksyjnych, ascetycznych.

3. Usta „rozdziawione” — zwłaszcza przy obwisłej wardze dolnej, to



objaw mało pocieszający; gdy taki układ warg jest stały, wskazuje to na pewne opuszczenie moralne i intelektualne. Jako wyraz przypadkowy, czasowy, może świadczyć o przygnębieniu czy też przerażeniu. Matoły, idjoci mają często usta otwarte, z których sączy się ślina.



4. Wargi cienkie, lecz nie suche należą do ludzi spokojnych, myślących. Wargi bardzo wąskie, suche, przypominające szramę zadaną nożem — to usta ludzi energicznych, oschłych, rygorystycznych, surowych dla innych i dla siebie.



4. Wargi grube, miękkie, ledwo zabarwione, nasuwają podejrzenia chorobliwości — takie usta mają limfatycy, akromegality. Usta grube, mięsiste, mocno czerwone — to banalnie uznana cecha zmysłowości. W podobnie wydatne wargi wyposażone są niektóre rasy, zwłaszcza czarna.



5. Wargi o rysunku prostym, poziomym, świadczą o usposobieniu nieskomplikowanym, spokojnym, poprawnym, trochę chłodnym (zwłaszcza, gdy są wąskie).

6. Wprost przeciwnie, wargi o wykroju falistym — szczególnie ładnie, harmonijnie zarysowana warga górna zdradza żywość usposobienia, uczuciowość, skłonność do entuzjazmu, do namiętności, nawet do egzaltacji.

7. Usta o kątach opuszczonych ku dołowi ujawniają dyspozycję do smutku, nawet do pesymizmu, usposobienie poważne i niepokojne.

8. Natomiast — usta o kątach podniesionych ku górze, zarówno jak twarz o podobnym rysunku oczu i brwi — świadczą o inteligencji, żywości, beztróście, swobodzie.

Warga górna dobrze ukształtowana, nadaje twarzy wyraz energii i stanowczości. Długa i pozioma — zna-





mionuje siłę i umiejętność panowania nad sobą. Krótka i wydatna — moc i godność.

Przewaga wargi dolnej nad górną symbolizuje górowanie materji nad duchem. Podobnie wykrojone usta widać na portretach kondotjerów włoskich, Macchiavellego czy Colleoni'ego. Ujawniają one energję i inteligencję, ale także i zdolność do podstępu, — charakteryzują człowieka aktywnego, który nie cofnie się przed niczem i który nie ma w sobie pociągu do altruizmu.

Na zakończenie trzeba powiedzieć kilka słów o czarujących usteczkach kobiecych, pełnych wdzięku i niewątpliwego rozumu, jak to widać na przykład na autoportrecie Vigée—Lebrun. O takich to ustach mówił poeta (Cyprian Norwid):

„Perł sznur, w czystej oprawie z koralu
Do jej się równać ust gdyby poważyl,
Zgasłyby perły, jak mętność opali,
A koral pierwej tchnieniemby się sparzył”.





GRYPA ..

fol. E. Racunas

Hipolit wierny sługa

Wszyscy w domu państwa Kankaków, ucieszyli się raczej, gdy pan Maciej „schyliwszy głowę na talerzu” wypowiedział te słowa: — Moje drogie, mam wam do oznajmienia bardzo smutną nowinę: sprzedaję auto!

— A co? — a moja nowenna? — zawołała z triumfem mama. No chwała Bogu! chwała Bogu — i warto było tyle lat tak się męczyć? — Naprawdę Maciusiu gotowam cię zato uściskać. Nagroda była rzeczywiście królewska, mimo to pan Maciej siedział dalej, smutny i zwieszony. Jadzia, córka państwa Kankaków ucieszyła się także niezmiernie.

— Nie będzie już jazd do Zakopanego o 6-ej rano, nie będzie tej ciągłej grozy, wiszącej nad nami katastrofy, no a przede wszystkim nie będzie Hipolita.

— Wiesz, że doprawdy mam ochotę cię uściskać za tak mądre postanowienie — groziła mama. Ten Hipolit, który brał miesięcznie czterysta złotych, ta ciąгла benzyna, te hopki na szosach, te remonty... Nareszcie zacznie się uczciwe, normalne życie. Powinieneś dać na mszę, mój Macieju, że cię raz przynajmniej Pan Bóg, natchnął mądrą myślą.

Radość rodziny państwa Kankaków, z powodu sprzedaży wozu, mogłaby się niejednemu automobiliście wydawać conajmniej dziwną, ale ktoby poznał szofera ich, Hipolita, przestałby się dziwić odrazu. Siedział właśnie teraz w kuchni, zalewając robaka zupą. Wiedział już o postanowieniu sprzedania wozu i przemyślał jakby z tego nieszczęścia wyjść na swoim.

Hipolit był to drab dużego wzrostu z gębą jakiegoś „zigeunerprima-masa”, czarne wąsy, czarne oczy i czarny charakter, miejscami w łagodnej, białe łatki.

— Że biedni ludzie sprzedają co mogą — zauważyła Julcia (hipolitowy pochlebca) — ale bogaci? Niema już naszych państwa na świecie...

— To wszystko robota panny Jadzi — mruknął Hipolit.

Złość Hipolita do Jadzi, datowała od jakichś dwóch lat, kiedy to dziewczątko popsuło Hipociowi stały dostęp do wspaniałego polowania. Było to jeszcze w tych dobrych czasach, kiedy po świecie grasował „kadulak” pana Kankaka i kiedy objeżdżało się znajome wsie „rzemienynym dyszlem” (wyrażenie stale powtarzane „wsiokom”), było się także, raz i drugi u pana Szamca w Smarach. Ale to nie były zwyczajne Smary, to była śliczna wieś z polowaniem że hej. „Bo to i zająców było, że strach, i kuropatwy, a cietrzewiii... A rogate do psiakrew, były z takimi rogami, jak djably no!” — A Hipolit lubił polować, był przecież synem gajowego, polowanie i automobil to były jedyne jego pasje.

Do kobiet miał ogromne szczęście (Pan Hipolit, taki elegancki mężczyzna... słuszny...), ale Hipcio nie brał ich serjo: „wiadomo, kobiety jak to baby... i już, nic na tem niema, tyle że każda kubita to, je baba” — mawiał filozoficznie. — Hipcio zauważył, że pan Szamiec, chociaż mu się na pięćdziesiątkę zanosi, miłem okiem na Jadzię spogląda, postanowił bardzo „hipolitycznie” postępować, bo drugi raz taka okazja, z takim polowaniem, co to nie polowanie je, ale złoto, nie trafi się, no!

Ale pan Szamiec, wdowiec, z trojgiem bachorów nie bardzo myślał się żenić, był zdaje się zdania jednego z chińskich mędrców że „człowiek, któremu żona umarła, a żeni się powtórnie, nie jest wart szczęścia które go spotkało”. — Jeszcze gdyby Jadzia była mu robiła jakieś awanse... ale tak, sam z siebie... Zato pan Kantak, prawa ręka Hipolita często przemyślał nad tem, że dobrze byłoby tych dwoje „młodych” ze sobą skojarzyć. „Bo to i wieś taka ładna i rodzina o pięknem nazwisku, a że pan domu brzydki, to już trudno”. — Hircio zrozumiał, że samo na świecie nic się nie robi i zaczął popychać sprawę od strony służby: — „Takiej panienci jak moja, to niema chyba drugiej na świecie — tłumaczył, całej kuchni. — To nie je panienci, to je cała pani... służbie na wszystko pozwala, wódkę zamiast harbaty rano sama nalewa... pensyją coraz to podnosi, żeby ludzie krzywdy nie mieli — no! — Prawdę mówię, dobrzeby wam z nią było, na panią w Smarach jak stworzona... — A portki skórzane co noszę, od kogo? — od panienci — a kurtka? paniencyzna, przerobiona, no! — A ona sama, to ino tak: Pan Szamiec i pan Szamiec, cały dzień i beczy...”

Służba zastanowiła się, namysliła i cała delegacja ruszyła do kancelarii pana dziedzica: „Panie dziedzicu! — kucharz czapkę zdjął i wrękach ją przebiera. — Bo my tu uradzili, coby pan Dziedzic się łożenił z tom paniencą łód pana Kontaka, ona dobra pani i myby ją chcieli na dziedziczkę. Pan Dziedzic już stary, chwalić Boga, szósty krzyżyk zaczął: a co żona to żona, i dzieci by mieli łopiekę.

— No a wiadomo czy ta panienci mnie zechce? — roześmiał się pan „Dziedzic”.

— Panienci? — to ino furt tak: Pan Szamiec i pan Szamiec, i beczy...

Pochlebiło to wszystko razem starszemu panu i poszedł, pół śmiechem, pół serjo opowiedzieć to pannie Jadzi.

— Cała służba chce, żebym się z panią żenił, tak im się pani spodobała, co do mnie, to chyba mogła już pani dawno zauważyć... No co zgodzi się pani? — Panna Jadzia uśmiechnęła się blado, powiedziała, że się nad tem zastanowi, a nazajutrz rano, poprosiła o konie i wio, na stację i do domu. I co? szanować to taką? — oburzał się Hipolit.

*

— Proszę jaśnie pana, — rzekł Hircio, wchodząc bez pukania do pokoju. — Ja coś słyszał, że my auto sprzedajemy, owszem, maszynę sprzedać można, czemu nie, czasy ciężkie, ale rozstać to my się nie możemy z jaśnie panem. Gdzież to? — wojnę razem i wszystko, a mało tośmy ludzi z jaśnie panem przejechali?

— Niechże Hipolit będzie cicho — krzyknął pan, zły bardzo.

— A czy ja krzyczę, czy ja co mówię? — dobrze, że jaśnie pan miał szczęście. A ja to po prawdzie, w ogień bym za panem skoczył, no! ale odejść to nie odejdę i już. A da to sobie jaśnie pan radę beze mnie? — Nie? — a widzi jaśnie pan — zostanę jako służący i pół pensyi brać będę i wikt.

I został Hircio, ku rozpaczowi Jadzi w domu, jako służący. Mama pojechała leczyć się do Krynicy, a papa z Hipolitem i Jadzią w mieście. Dla biednej Jadzi nastały ciężkie czasy. Hircio, nie mogąc jej darować historii z panem Szamcem, prześladował ją w sposób wyrafinowany. Rano budził ją o godzinie ósmej, krzycząc na cały dom: „Śniadanie! Pan czeka, jak panienci zaraz nie zjeździe, to nie dostanie jeść! —

Gdy telefon dopominał się o pannę Jadzię, Hipolić ryczał zdołu: No, telefon, przedzej.

— Tato, jak on mnie traktuje — skarżyła się ojcu panna.

— Daj mu spokój, porządny człowiek i naprawdę do mnie przywiązany, koło moich ubrań i butów chodzi, jak dawniej koło maszyny. — Zupełnie inaczej moje buty teraz chodzą. — A jakie papierosy świetne robi. Wierzaj mi, że onby w ogień za mną skoczył:

Zdarzyło się, że Jadzia rozchorowała się ciężko. — Wiadomo, staropanieństwo — postawił diagnozę Hipolit. — A jakeśmy chcieli panienkę za pana Szamca wydać to nie, a przez co? — przez złość, ajakże, żeby Hipolit na stare lata polowania dobrego nie miał...

Z Jadzią zaczęło być tak źle, że aż trzeba było księdza wezwać, ale jakoś panienka tylko jęczy i męczy drugich i gorączkuje i nie umiera. Papa aż z tego wszystkiego wyłysiał i zgarbił się. — Kiedyż się ta moja męczarnia nareszcie skończy? — powiada do Hipolita. — No, czas byłby już po prawdziwe najwyższy — mówi Hipcio i wchodzi do pokoju chorej. — Ładnie to? — pięknie to tak postępować? — pogrzeb zamówiony, ksiądz czeka, jaśnie pan tylko czas traci, pani starsza nie wychodzi z kościoła, gotowa się zaziębić, ja już od tygodnia obiadu nie jadł — trumna obstalowana, fajna — a panienka nic, tylko stęko i stęko. Gdzież to tak postępować? — A Jadzia, jak się z łóżka nie zerwie, jak nie zacznie na Hipolita krzyzczeć! Porwała ze stolika talerz, buch nim w Hipolita, taki wigor w nią wstąpił. Potem zesłała i zdawało się, że ducha z siebie wyzionęła. Ksiądz przyszedł, pan konsyljarz też, ale zmartwili się oboje, bo Jadzia zasnęła: równo, odddycha, puls jakiś lepszy...

— Kryzys — powiada doktor — zdaje się, że wyzdrowieje.

— Ej kryzys, kryzys, — gdera Hipcio, — wszystko tera takie kryzysowe, za dobrych czasów, to jak ktoś umierał, to umierał, nie tak. Ale niechta sobie jeszcze pożyje, co mi tam, dla mojego jaśnie pana to i lelepi, no! — Jadzia wyzdrowiała, a Hipcio wyrósł do domowego bohatera. Widzisz, życie ci uratował — mówił papa. A Hipolit usłyszał to i zaraz poprosił o podwyższenie pensji. — Powiadam ci — dodał ojciec — że ten człowiek w ogieńby dla mnie skoczył.

Gdy się często coś powtarza to różne chochliki, służba Losu, słyszą to i kombinują, jakiby tu temu komuś kawał zrobić. Ktoregoś dnia, gdy mama wyjechała na kilka dni z domu, papa wziął książkę, położył się do łóżka, cieszy się, że babci obok niema, zapalił cygaro i czyta. Książka taka interesująca, że aż się tatce oczy kleją, kleju, kleju, baju, baju... Papa zasypia, a cygarko pali się dalej, ale już na kołdrze. Hipolita, który jak pies ma czujny sen budzi nagle straszny dym, wyskakuje z łóżka i idzie w stronę, skąd dym wychodzi. Otwiera drzwi od pokoju pana, a tu biało jak w parówce, kołdra się pali, a koszula na wółprzyduszonym od cymu panu, zaczyna się już tlić...

— A widzisz — mówi na drugi dzień wyratowany przez Hipcia tatko do córki — zawsze mówiłem, że Hipolit w ogieńby za mną skoczył! — Ale Hipcio jakiś niezadowolony, łązi, szwenda się, mruczy coś pod czarnym wąsem, wkońcu staje przed panem i powiada: — Proszę jaśnie pana! — jabym się ta nie przymawiał, ale ładnie to? — To ja z narażeniem własnego życia pana ratuję, a jaśnie pan nic? — Ta gdzież to można, dla mnie życie jaśnie pana to z tysiąc złotych warte, jeśli nie więcej, no!



PING-PONG

fot. E. Raczunas

SPUSTOSZENIE

fot. E. Raczunas



MARJA JASNORZEWSKA
(PAWLIKOWSKA)

BALLADA O RĘKAWICZCE



W cyrku, blisko areny, u boku rycerza,
siedziała młoda dama błękitna i złota.
Przed nimi, wołyżerka w różowych trykotach
udeptywała konia, cierpliwego zwierza.
A potem stado słoni o ponurych cielskach
przesłoniło arenę farandolą ciasną.
Dama w zbyt żywym geście (kokietka anielska!)
upuściła za rampę rękawiczkę jasną.
I zadrżała! Bo rycerz przeskoczył zagrodę
i między nogi słoni chyląc się — szalony! —
podjął z piasku pokrowiec białej rączki młodej,
o którą się ubiegał, poszukując żony.
Dama czeka, rumieńce gotując [dziewicze,
I dziękuje zwycięzcy, i wzrokiem go pieści:
„ — Bo to moja jedyna para rękawiczek! ”
Słyszac to, rycerz zadrzał — zbłądł — przepadł bez wieści...

CURIOSA PRZYRODNICZE

Pojazd obciążony — lżejszy do ciągnięcia niż pusty

Jedną z osobliwości tego egzotycznego i tak interesującego kraju, jakim jest Japonia, stanowią lekkie i wdzięczne w budowie, lecz rażące niemile oczy białych podróżników swym zaprzęgiem, dorożki japońskie zwane dzinrikszami. Są to lekkie, jednoosobowe powoziki na dwóch wysokich kołach, mające zamiast rosłego konia — krzepkiego i wytrzymałego syna kraju Kwitnącej Wiśni.

Zaprzęgi konne stanowią w Japonii rzadkość. Riksze, przeznaczone do przewożenia ludzi w miastach a nawet nieraz i dalej, mają z reguły jako siłę pociagową człowieka. Pracowity i uczciwy z natury Japończyk nie gardzi i nie wstydzi się żadnej pracy, aby tylko móc egzystować w ojczyźnie.

Jeżeli jednak widok rikszy razi nasze oczy wpręgnięciem człowieka w pracę, w której my przywykliśmy widzieć zwierzęta, to przy zapoznaniu się bliżej i korzystaniu z tej niezwykłej dla nas lekkości ogarnia nas nieraz podziw nad niezwykłą siłą i wytrzymałością tych dwunogich motorów.

Zawodowy dzinriksza posiada zdumiewającą wytrzymałość, niewyczerpane siły i odporność na zmęczenie. Uzyskawszy pasażera, za niewysoką naogół zapłatą, ochoczo staje między dyszle swego powoziku i rusza żwawo w drogę, którą mu wskazano. Równym, nie gorączkowym, lecz nieustannym i niezmęczonym truchtem biegnie, przebiega kilometr za kilometrem wśród malowniczych zazwyczaj krajobrazów swej ojczyzny i wreszcie staje u celu... przebiegłszy nierzadko, jako normalny kurs, czterdzieści i więcej kilometrów jednego dnia! I po takim kursie nie „kładzie się do łóżka” bynajmniej, zmęczony lub wyczerpany do ostateczności. Otarłszy trochę potu z czoła, odpocząwszy parę godzin i pokrzepiwszy się jedną, drugą garstką ryżu... chwytą znów dyszle swej dwukółki i rusza w powrotną drogę.

Prawdziwe i najwyższe zdziwienie ogarnie nas, gdy usłyszymy, że przed wyruszeniem zabiega on i wyszukuje pasażera na drogę powrotną; przytem, jeżeli niema takiego,

któryby zapłacił za przewóz, to pociągnie każdego darmo — aby nie wlec za sobą pustej rikszy. Albowiem okazuje się, że lżej mu jest biec z ładunkiem niż z pustą rikszą.

Gdzież jest rozwiązanie i wyjaśnienie tego pozornego paradoksu, tej zagadki? Leży w jednej, prostej a jednak decydującej okoliczności — w umiejętnym rozłożeniu tego ciężaru. na wózku tak, aby mu nie powiększał, lecz zmniejszał pracę ciągnięcia rikszy.

Każdy tragarz wie, iż łatwiej i lżej mu ciągnąć wielki ciężar na wózku po równej drodze, niż wnosić go na plecach po schodach lub pod górę. W tym ostatnim bowiem wypadku ciałem swem tragarz musi podpieierać trzymany na plecach ciężar.

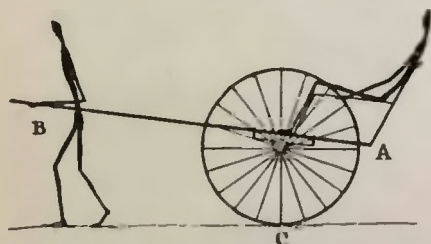
Przejdźmy teraz do naszego Japończyka. Powracając z pustą rikszą musi on nieść przez całą drogę ciężar swego ciała na własnych nogach. Byłoby więc bardzo dla niego pożądane, by mógł przełożyć choć część swego ciężaru na koła wózka; nawet, gdyby miał na nim dwa razy taką wagę, jaką zdjąłby z siebie. Riksza jednak to nie rower — nie można i jechać i wieźć samego siebie. I tu właśnie występuje zawodowa umiejętność tych biegaczy — umiejętność ulżenia sobie pracy przez właściwe opieranie się na dyszlach powoziku.

Riksza cała jest lekka, tak, że lekki nacisk na dyszle unosi ją do góry. Żeby więc móc oddać dyszłom większą lub mniejszą część wagi biegacza, trzeba wytworzyć odpowiednią przeciwwagę, przez umieszczenie na siedzeniu rikszy pewnego ciężaru. Ciężar ten musi być większy od tej wagi, którą biegacz chce „stracić” na dyszlach i przytem tem większy, im bliżej jest umieszczony do t. zw. punktu podparcia (w danym wypadku — osi rikszy) i im bliżej ramię dźwigni (dyszle) jest krótsze. Tę przeciwwagę daje biegaczowi właśnie pasażer, o którego tak starał się przed ruszeniem w powrotną drogę.

Spojrzymy teraz na rysunek. Jeżeli punkt ciężkości wagi pasażera pada na punkt A, znajdujący się od punktu podparcia C (osi)

w odległości dwa razy mniejszej niż punkt B, w którym biegacz opiera ręce na dyszlach i w ten sposób składa na nie część swojej wagi, to dla utrzymania równowagi ramię dźwigni — długość dyszli od osi (C) do punktu B — musi być, według wymagań mechaniki, dwa razy dłuższe, niż odległość od osi do punktu A.

O ile biegacz jest równej wagi z pasażerem, to w tym wypadku, już połową tylko swej wagi równoważy ciężar pasażera. Ponieważ zaś połowę wagi swej złożył na dyszlach w punkcie B, to w rezultacie musi już nieść sam na własnych nogach jedynie połowę swego ciężaru.



Korzystać z takiego wyniku jest oczywiste.

Praca zaś ciągnięcia całej wagi pasażera i jedynie połowy ciężaru własnego, na lekkich kołach, po równej drodze jest niewielka i w żadnym wypadku nie przewyższa zysku, polegającego na zmniejszeniu o połowę wagi własnej biegacza.

W ten to sposób zagadka rozwiązuje się: pasażer swym ciężarem, umiejętnie rozłożonym przez sprytnego biegacza na wózku, odejmuje mu połowę jego własnego ciężaru i przez to zmniejsza jego pracę; i biedny ale roztropny Japonczyk wie, że ma słuszną, twierdząc, iż obciążona pasażerem riksza jest lżejsza do ciągnięcia, niż pusta.

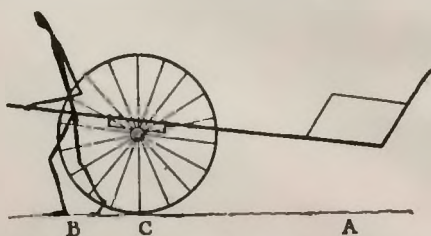
O ile droga wypada pod górę — do pracy ciągnięcia rikszy dochodzi jeszcze nadto praca dźwigania i wciągania dodatkowego ciężaru — pasażera po wznoszącej się drodze. O ile bowiem waga rikszy zostałaby zwiększona przez obciążenie jej pasażerem, to zysk z przełożenia połowy własnego ciężaru na koła zostałby przez pracę dźwigania pod górę całkowicie zniweczony.

To samo zachodzi również, gdy droga jest błotnista i grząska. Praca bowiem ciągnięcia wózka powiększa się niepomiar-

wskutek wrzynania się kół w rozmiękły grunt. Przy rikszy pustej, bez pasażera, a więc lekkiej, ma to znaczenie niewielkie; lecz gdy dodać do niej jeszcze ciężar pasażera oraz połowę wagi własnej biegacza, jak wyżej powiedziano, to różnica w pracy będzie ogromna.

Ciekawem jeszcze wreszcie byłoby rozpatrzenie kwestji, czy podobny zysk w pracy — podobne zmniejszenie swej wagi — biegacz mógłby uzyskać przy zjeżdżaniu z góry pustą rikszą bez pasażera.

Zasadniczo jest to całkowicie możliwe; do tego jednak trzeba by zmienić nieco konstrukcję samej rikszy; mianowicie — dyszle



musiałyby móc przesuwąć się w miejscu umocowania ich u osi. Wtedy rozkład pracy biegacza byłby następujący:

Jeżeli siedzenie rikszy miałoby wagę, przypuśćmy, 0,25 wagi biegacza, to ramię dźwigni BC — również według zasad mechaniki — musiałoby być cztery razy tak długie jak AC, a przy ciężarze siedzenia równym wadze biegacza, dwa razy dłuższe od AC — aby zrównoważyć połowę wagi własnej biegacza.

O ile więc na rikszy nie byłoby pasażera, to biegacz musiałby przesunąć całe siedzenie w tył tak daleko, aby odległość AC była trzy razy dłuższa od BC. Wówczas bowiem przelczyłby on 0,75 swej wagi na dyszle, czyli inaczej mówiąc zdjąłby ze swych nóg 0,75 swego własnego ciężaru, nie dodając przytem żadnego dodatkowego a zbędnego jak widać ciężaru, któryby musiał dźwigać i ciągnąć.

Tak oto skromny i nieoświecony dzinriksza japoński własnymi drogami doszedł do poznania skomplikowanych spraw mechaniki.

(Wg. Hampson-Schaeffera).

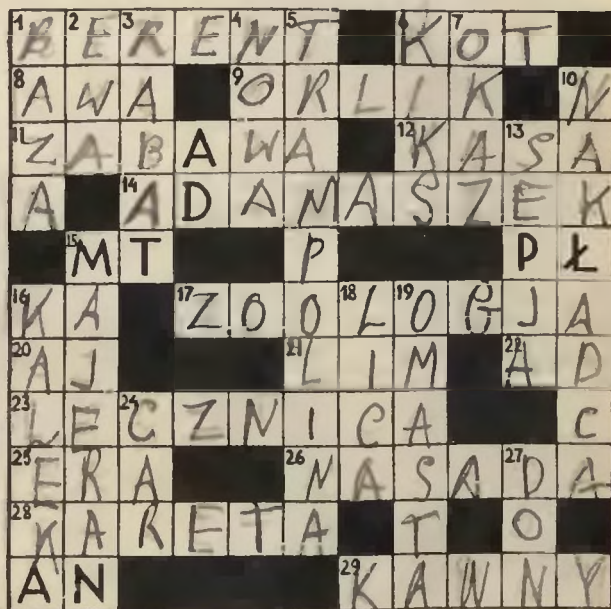
Inż. Z. Ch.

Nasza Krzyżówka!

100

zagrady!

W zeszycie niniejszym ogłaszamy drugą z kolei krzyżówkę z nagrodą pieniężną i sądzimy że ten nowy, dotychczas nieznanym w Polsce system, znajdzie wśród czytelników prawdziwe uznanie.



Znaczenie słów poziomych: 1. Współczesny pisarz polski. 6. Zwierzę domowe. 8. Miejscowość w Indiach. 9. Młody orzeł. 11. Rozrywka. 12. Miejsce wypłaty należności. 14. Rodzaj materiału. 16. Spółgłoska fonetycznie. 17. Nauka przyrodnicza. 20. Wykrzyknik. 21. Symbol matematyczny. 22. Skrót napisu matematycznego. 23. Sanatorium. 25. Epoka. 26. Rękójść, trzonek. 28. Rodzaj powozu. 29. Miejsce bitwy historycznej.

Znaczenie słów pionowych: 1. Podstawa operacyjna. 2. Imię żeńskie. 3. Ustępstwo od ceny. 4. Świeżo nabyta. 5. Ruchoma deska do odbicia. 6. Nieudana nuta w śpiewie. 7. Osobliwość. 10. Wydawca. 13. Rodzaj mięczaka morskiego. 15. Roślina z rodziny wargowych. 16. Inwalida. 18. Policzki. 19. Okrasa. 24. Dawny władca Rosji. 27. Tytuł hiszpański.

WARUNKI: 1. Każdy czytelnik może nadesłać dowolną ilość rozwiązań.

2. Rozwiązania muszą być starannie i wyraźnie napisane tuszem lub atramentem w przerysowanym deseni krzyżówki. W każdą kratkę może być wpisana tylko jedna litera.

3. Nagrodę 100 zł. w gotówce otrzyma ten czytelnik lub ci czytelnicy, którzy nadesłali rozwiązanie bezbłędne, względnie zawierające najmniej błędów. W razie nadejścia kilku równoważnych najlepszych rozwiązań, nagroda 100 zł. ulegnie podziałowi.

4. Do każdego rozwiązania należy dołączyć nieużywany znaczek pocztowy za 1 złoty.

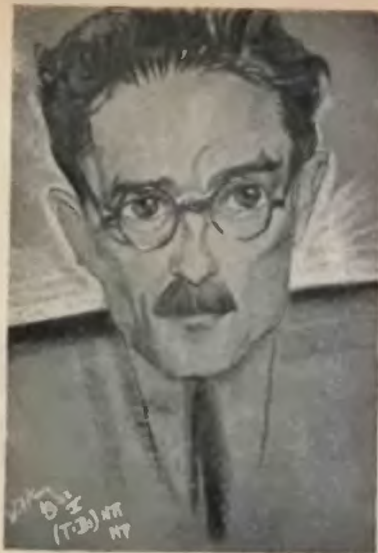
5. Koperty nie mogą zawierać nic więcej prócz rozwiązań, imienia, nazwiska i dokładnego adresu oraz odpowiedniej ilości znaczków pocztowych.

6. Rozwiązania należy skierować do Redakcji „Naokoło Świata”, Warszawa, Zgoda 12, z dopiskiem na kopercie „Dział rozrywkowy”.

7. Ostateczny termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 14 stycznia 1933 r.

8. Niezastosowanie się do warunków 2, 4, 5 i 7 wyklucza z udziału w konkursie.

9. Decyzje redakcji są stanowcze i nieodwołalne.



MIECZYŚŁAW CHOYNOWSKI

MODEL I ARTYSTA

Sądzę, że aby być dobrym portrecistą, nie wystarczy być dobrym malarzem — trzeba być jeszcze i psychologiem. Bo czymże właściwie jest portret? W potocznym, najpopularniejszym rozumieniu — to wizerunek naturalistyczny danej osoby, wizerunek jej twarzy lub całej postaci. Według powszechnego mniemania najważniejsze jest podobieństwo rysów, a portret spełniający zadanie fotografii — najlepszym rozwiązaniem problemu. Czy istotnie chodzi tylko o naturalistyczny wizerunek, czy wogóle tak pojęty portret nie jest jedynie mechanicznym odtworzeniem, rzemieślniczą kopią rzeczywistości?

Twarz człowieka to nie tylko maska ze skóry obciągniętej na kościach. Twarz człowieka to jednocześnie maska skrywająca i pokazująca zarazem duszę ludzką. W oczach czai się złośliwa bestja lub ukrywa beznamiętny smutek, kąciaki ust zwiastują pogodę lub rozpacz.

Jesteśmy tajemniczy i skomplikowani. Każdy prawie mniej lub więcej świadomie lubi się bawić w psychoanalitika. Obserwuje napotykaną w życiu ludzi, bada ich, sonduje, dochodzi do określonych wniosków, a pewnego dnia staje wobec jakiegoś niespodziewanego zachowania się i cała charakterystyka bierze w łeb. Bo na dnie każdej psychiki drzemia utajone demony, dochodzące nagle do głosu. Ktos sklasyfikowany i zaopatrzony w etykietkę ukazuje się naraz w innym zupełnie świetle. Spostrzegamy nieznaną dotąd cechę, człowiek szlachetny zamienia się czasem w zwierzę, gentleman budzi się nieraz i w chanie. Przemiany bywają nagle lub powolne. Tragiczny splot okoliczności ludzi silnych pozbawia ich mocy, słabi w latach walki wyrabiają się na nieugiętych. W każdym z nas żyje wielu różnych od siebie ludzi, którzy przez długie lata nic o sobie mogą nie wiedzieć.

Lecz chodzi nie tylko o te zasadnicze rzeczy. Chodzi również i o ten bezustanny przepływ nastrojów, o radości nadchodzące po smutkach, zwiątpienie przeplatające się z wiarą, entuzjazm zdławiony szyderstwem

Dzięki dziwnym, mało dziś jeszcze znanym psycho - anatomiczno - fizjologicznym związkom, twarz jest jakoby ekranem do wyświetlania filmu naszych przeżyć. Odbijają się w niej wszelkie zmiany nastrojów, z twarzy można przy pewnej wprawie i intuicji wyczytać treść najtajniejszych nawet uczuć. I dlatego portret nie może być naśladownictwem samej maski — portret to analiza psychologiczna i jednocześnie synteza psychiki osoby portretowanej. Musi on spełniać warunki najlepszego rozwiązania dualizmu, tkwiącego w formie zewnętrznej i treści wewnętrznej twarzy. Zdolny rzemieślnik potrafi zawsze skopjować formę, lecz wnikać w głębszą treść psychiczną tej formy potrafi tylko malarz i psycholog w jednej osobie. W mistrzowskiej analizie psychologicznej leży tajemnica świetnych portretów Stanisława Ignacego Witkiewicza. We wszystkich — i w tych tak „zawodowo”, na żądanie klienta naturalistycznie wykonanych i w tych skrajnie, do granic abstrakcji zdeformowanych, sięga on wnikliwie do głębi psychiki modelu. Malarz ten — jeden z najlepiej rozumiejących i czujących sztukę ludzi — rozumiał również dobrze czym winien być portret. Portret to zabawa psychologiczna przy pomocy artystycznych środków — powiedział kiedyś, zdaje się, że prof. Stefan Szuman.

Witkiewicz w każdym swym portrecie obnaża część duszy człowieka. Przyjaciół swych portretuje dziesiątki razy i każdy portret — to przyłapanie innej jakiegos cechy charakteru, ujęcie z innej strony. Rysy twarzy zmieniają się bardzo rzadko, lecz zmieniają się nieustannie nastroje, myśli, przeżycia. Pastel — ta wymarzona dla Witkiewicza technika — pozwala mu kilkomal czasem błyskawicznymi pociągnięciami zdemaskować najtajniejsze uczucia czy starannie ukrywane śmieszności.

Portret Witkiewicza to sekcja dokonywana najsubtelniejszym i najprecyzyjniejszym skalpelem przez świetnego chirurga. Model jest



pocięty na kawałeczki, przenicowany i obejrzany „od środka”, a potem zsyntetyzowany w masce psychologicznej portretu.



Skala wytwórczości „Firmy portretowej S. I. Witkiewicz” rozciąga się od obrazów „wylizanych” i upiększonych poprzez wszelkie stopnie deformacji psychologicznych, aż do typów C i D, dających autorowi zupełną swobodę twórczą i prowadzących w granicy do abstrakcyjnej czystej formy.

Bezwzględnie najciekawsze wyniki osiągał dawniej Witkiewicz w typach C, C+Co, C+Peyotl, C+Co+Et i tym podobnych. Kabalistyczne te znaki kryją w sobie sprawy istotnie tajemnicze. To portrety rysowane w stanach narkotycznych po zażyciu kokainy, eteru, peyotlu, lub wprost — po alkoholu. Wyniki zdumiewające. Narkotyki oddziałują bezpośrednio na centra mózgowe, wprawiając je w stan wzmóżonej działalności. Deformacjom ulega nie tylko rzeczywistość, lecz także i wewnętrzne procesy psychiczne. Zaburzenia ośrodków nerwowych wpływają na wykonanie portretów, zamieniających się niejednokrotnie w fantastyczne wizje.

Ciekawe jest działanie narkotyków na pewność ręki. Alkohol i kokaina wzmagają ją w dziwny sposób, nadając precyzję linii i ten jedyny w swoim rodzaju charakter, nieosiągalny niemal bez użycia jądów. Peyotl działa odwrotnie. Wykonanie jest również

inne niż zwykle, lecz występuje jeszcze w dodatku „pewna nieobliczalność tego, co ma się zaimiar narysować. Ręka porusza się automatycznie, czego w czasie działania żadnego ze znanych mi dotąd narkotyków nie doświadczałem” — jak pisze Witkiewicz



w swej ciekawej książce o narkotykach („Nikotyna — alkohol — kokaina — peyotl — morfina — eter + appendix”).

I jeszcze jedną dziwną właściwość ma peyotl. Pod wpływem tego narkotyku następuje niesłychane spotęgowanie intuicji, graniczące nieraz z jasnowidzeniem. Wylażą na wierzch ukryte, zakłamate i zamaskowane cechy własne i cudze, osobie portretowanej trudno jest coś ukryć. Witkiewicz w portretach swych nawyłot prześwieśla psychikę modela, daje wyraz najistotniejszym cechom charakteru, przesadza je, wyolbrzymia, „przepotwarza”, lecz nie robi karykatury. W portretach jego niema złośliwości — jest genialna analiza psychologiczna i zrozumienie. Rozumie on utajony w czyjejś duszy smutek, mękę, zwątpienie czy podłość. Potrafi je zawsze wyszperać, uchwycić, pokazać, najlepiej zaś wtedy, gdy pod wpływem narkotycznych środków intuicja i wyobraźnia pracują sprawniej niż zwykle.

W stanach narkozy osiągał on rzeczywiście wyniki niemożliwe prawie kiedy indziej do osiągnięcia. Ale... „lepiej nie wykonać pew-

nej ilości pewnego gatunku bohomazów, niż zatracić to, co jest w dzisiejszym człowieku jeszcze najistotniejsze, to jest prawidłowo funkcjonujący intelekt", dodaje w innym miejscu swej książki.

I dzisiaj, gdy przestał stosować sztuczne

wem skuteczniać bez nich mu się nie zdarza. Właściwie trudno jest odpowiedzieć, dlaczego tak jest. Jaki dziwny i niepojęty



środki narkotyczne, okazało się, że choć ogólny poziom portretów podniósł się widocznie, to jednak rzeczy pod ich wpły-



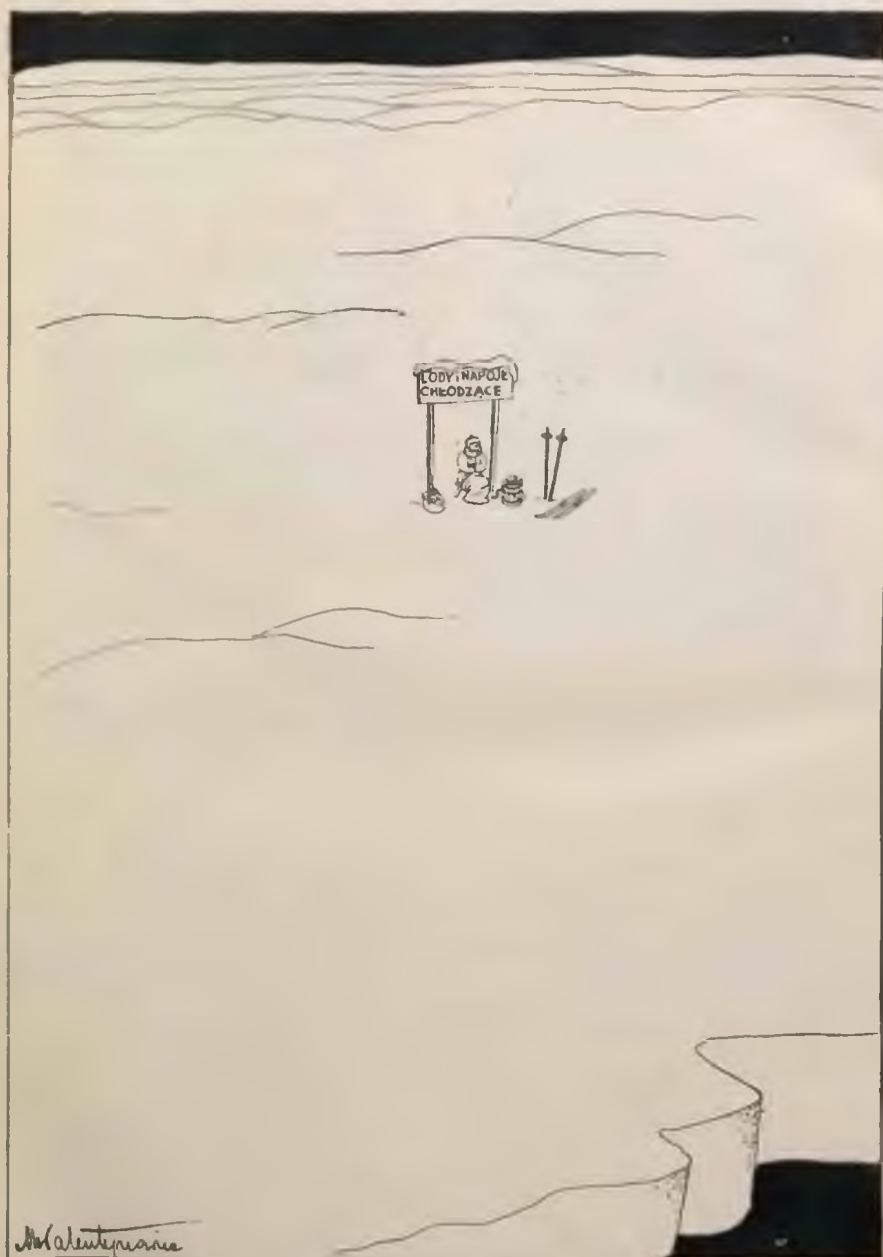
wpływ mają na psychikę narkotyki, w jakie wymiary wprowadza nas ich użycie?

Portrety Witkiewicza wzbudzają podziw, zachwyt, częstokroć niepokój. Niektóre z nich stoją na granicy czystej formy; to już prawdziwa sztuka i wielkość, na którą w dzisiejszym przeważnie znaturalizowanym malarstwie mało kto umie się zdobyć.

Na stronie 44 umieszczono portrety p. ministra Jastrzębskiego, p. ministra Ludkiewicza i p. ministra Prystora. Na str. 46 po stronie lewej zamieszczono autoportret St. I. Witkiewicza.

Jakie są przyczyny reumatyzmu?

Według notowań angielskiego Urzędu Zdrowia, 50% reumatyków chorowało uprzednio na zapalenie migdałków, które stale spowodowane bywa przez bakterje. Niestety, szerokie koła publiczności nie są dostatecznie poinformowane o tem, że jama ustna i gardzielowa stanowi wrota wejścia dla przeważnej ilości chorób i, że osłabiony ustrój potrzebuje szczególnie skutecznego środka ochronnego w walce z chorobotwórcami bakterjami. Dlatego też należy koniecznie stosować w porę właściwy środek zapobiegawczy, któryby obok zupełnej nieszkodliwości i braku cech drażniących zapewnił skuteczną dezynfekcję gardła i jamy ustnej i bronił w ten sposób wejścia do zagrożonego ustroju. Do tego celu nadają się najlepiej pastylki *Panflaviny*.



Małakiewicz

OPTYMISTA NA BIEGUNIE



TADEUSZ GRABOWSKI PRZESĄDY I MASKOTY SPORTOWCÓW

Skłonny jestem twierdzić, że niema na świecie sportowca, któryby nie miał „swoich” przesądów w związku ze sportem przez siebie uprawianym. Nagminność przesądów bierze się stąd, że właśnie sportowcy-zawodnicy stykają się ciągle i bezpośrednio z t. zw. szczęściem i pechem u konkurentów i u siebie.

To co inni, „normalni” ludzie widzą zbliżka b. rzadko (nieczęsto wygrywa się premię 40 tys. dolarów w ciągnięciu dolarówki!) sportowcy spotykają wyjątkowo często, gdyż *stałe chcą czegoś bardzo*. A jeśli nasze nerwy są napięte, a ustrój silnie „nastawiony” na jakieś ważne zdarzenie — wszystkie drobiazgi widzimy wówczas przez szkło powiększające, przywiązujemy do nich wagę znacznie większą, niż należy.

W życiu prywatnem stosunkowo dość rzadko pragnie się czegoś usilnie; w życiu sportowem dąży się do czegoś i walczy o coś prawie ciągle. A w walce szczęście gra rolę ogromną, gdyż najbłahsze nawet drobiazgi przyczyniają się do powodzenia lub klęski.

Taka jest przyczyna, dla której sportowcy są tak bardzo przesądni — nauczyli się zwracać baczną uwagę na rzeczy drobne, trzeciorzędnego znaczenia.



Jak nagminnie rozpowszechnione są przesady wśród sportowców, przekonają się czytelnicy z przytoczonych poniżej faktów. Nasi mistrzowie biegni, rakiety, kierownicy i t. p. przyznają się do tych słabostek czasem z ru-

mieniem na twarzy, a czasem nawet z głębokiem przesvědzeniem, że amulet lub przesąd jest... jedyną przyczyną ich sukcesów i powodzenia. Proszę tylko posłuchać:

Mistrz olimpijski, najlepszy biegacz świata na długich dystansach, Janusz Kusociński mówi: w roku 1928 moją maskotką była czapeczka, uszyta dla mnie przez koleżankę klubową, lekkoatletkę, Kazię Fidzińską. Uważałem, że czapeczka przynosi mi szczęście, we wszystkich zawodach biegalem z tą maskotą na głowie. To był mój pierwszy „fetyśz”. Rok 1929-y był dla mnie bardzo niešťęśliwy. Sytuacja zmieniła się zasadniczo dopiero z wiosną 1930. W tym właśnie czasie trenowałem się przed sezonem na torze wyścigów konnych, na polu Mokotowskiem. Któregos dnia w czasie ćwiczeźnego biegu z Fr. Żuberem mignęła mi w trawie podkowa końska. Wróciliśmy się, aby ją podjąć. Pół godziny mordowaliśmy się nad odnalezieniem tego „klejnotu”, który wreszcie ja znalazłem. Od tego dnia rozpoczęło się moje „powodzenie” i to, co nazywamy karierą sportową. Wszystko się udawało. Od tego momentu nie rozstaję się z podkową. Noszę ją w walizce na każde zawody. Oczywiście podkowa także podróżuje ze mną po całym świecie.

Znany przed kilku laty, doskonały 400-metrowiec, Stan. Rothert biegł zawsze w tej samej koszulce. Z lękiem oddawał ją do prania (bardzo rzadko), aby mu trykotu nie zniszczyli. Wojciech Trojanowski (AZS), obecny reprezentant Polski w biegu na 110 m.



z płótkami dostał na szczęście łapkę sarnią od swej sympatji. Uwiązał ją na sznurku i umieścił na plecach. Amulet, zamiast szczęścia przyniósł mu pecha: wylosował tor pokryty kałużami wody, potknął się i przegrał o kilka centymenrów (z Dobrowolskim) bieg o mistrzostwo Polski.

Wśród lekkoatletów zagranicznych — zwłaszcza biegaczy — panuje obecnie moda biegania z medalem psa (t. zw. psi numer na metalowym kółku) zawieszonym na sznurku lub łańcuszku, na szyi lub na prawej ręce. Koniecznie na prawej! — Jeden z lepszych skoczków warszawskich, Maciaszczyk z Ak. Zw. Sp. skorzystał z obcięcia włosów narzeczonej (moda à la garçonne), poprosił o „loczek” i ulokował go... w pantoflu do skoków, pod piętą. Maciaszczyk skakał niezłe (6.60 mtr. wdał) i twierdził kategorycznie, że loczek „wypycha” go o dobre pół metra dalej. — Doskonały średniodystansowiec (w roku 1927—8) Malanowski z AZS'u znany był z przesądu, który kulturował niezwykle pieczołowicie. W czasie biegu trzymał on zawsze w lewym ręku 2,5 centymetrową figurkę S-go Antoniego zrobioną z cyny. Razu pew-

nego zdarzył się fatalny wypadek. Malanowski sznurował na boisku, przed biegiem, pantofel, ręce miał zajęte, wziął figurkę w usta, a że był bardzo gadatliwy, zaczął rozmowę „przez zęby”. Rezultat był taki, że Malanowski połknął figurkę. Zdenerwowany tym wypadkiem, bliski rozstroju nerwowego — przegrał bieg.

Najszybszy człowiek świata w roku 1921—1923, Charles Paddock (St. Zj.) był przesądny jak murzyn. Przed każdym biegiem rwał trawę z boiska, układał jakieś bardzo „komplikowane kupki i krzyżyki, wymawiał nad tem „zaklęcia” i wróżył sobie zwycięstwo lub przegraną. Im więcej zajmował się wróżbami, tem gorzej biegał.

Najszybsza kobieta świata, Stanisława Wasiewiczówna uważa za swą maskotkę beret granatowy, bez którego nie rusza się nigdzie. W czasie największego upału biega w berecie na głowie. Nie rozstaje się z nim nawet na bankietach oficjalnych.

Bardzo przesądni są piłkarze. Każdy niemal gracz ma swój amulet, swoje „sposoby” na szczęście. Znałem takiego (Eisenhoffer z Budapesztu), który kładł fotografię narzeczonej do lewego trzewika. Twierdził, że to doskonały sposób na szczęśliwe strzały do bramki. Większość bramek Eisenhoffer strzelał lewą nogą. Popularny obrońca „Polonii”, wielokrotny gracz reprezentacji Polski, Jerzy Bułanow nigdy nie włożył skarpetki z prawej nogi na lewą (i odwrotnie). Skarpetki i nakostniki ma poznaczone. Kilka razy się zdarzyło, że ubierając się, machinalnie zapominał sprawdzić czy skarpetki włożył właściwie. Wracał do szatni i bez wahania rozbierał się, ryzykując spóźnienie. Tenże gracz otrzymał od swej matki pierścionek-amulet (długa damska „markiza”), który miał go chronić przed kontuzją — dość częstą w piłkarstwie. Wszystko się udawało. Aż na jednym z meczów o mistrzostwo Polski („Polonia” — „Wilja” w Wilnie, rok 1923) w czasie gry Bułanow zawadził pierścionkiem o koszulkę przeciwnika. Pierścionek pękł i zsunął się na trawę. W kilka minut później Bułanow został kontuzjowany tak ciężko (słynny „stołek” prof. dr. Weissenhoffa!), że leżał przez pół godziny nieprzytomny. Pierścionek z trudem znaleziono w trawie i oddano właścicielowi, który po dojściu do przytomności skwapliwie się o niego dopominał.

Bramkarze drużyn piłkarskich mają poważnie jako maskoty lalki, małpki, niedźwiedzie i t. p. Z początku gracze traktują te fetysze z uśmiechem pobbżania, a po wygraniu z nimi dwóch-trzech meczów — nie oddadzą ich za skarby. Znana była historia takiej małpki, którą otrzymał bramkarz „Polonji”, Kisieliński. Wszystkie mecze ligowe w drugiej turze (jesienią) były wygrane. Aż nagle przed meczem z „Legją” ktoś złośliwy ukradł fetysza. Drużyna „Polonji” grała nieźle, lecz z wyjątkowym pechem i przegrała 4:8.

Starzy, doświadczeni gracze naogół nie lubią rzeczy nowych. Łatają stare, aż do chwili kiedy się rozlecą w strzępy. Popularny hokeista, wieloletni reprezentant Polski, Włodzimierz Krygier gra od kilku lat w tych samych rękawicach, na których niema już ani kawałka „pierwotnej” skóry. — As naszego hokeja lodowego, Tad. Adamowski miał sweter, który mu „przynosił szczęście”. Nie zdejmował go nigdy na lodowisku, nawet do... fotografii.

Jednym z bardziej popularnych przesądów braci sportowej jest zapatrywanie na sprawę golenia twarzy przed zawodami. Powiedzenie Samsona, że broda daje siłę jest bardzo często i chętnie respektowane. W roku 1928 w czasie Olimpiady zimowej w St. Moritz, gracze polskiego zespołu nie golili się przez kilka dni. Mecze były udane, droga do finału otwarta. Pozostało ostatnie spotkanie z Czechami. Bramkarz Stogowski, który był najlepszym graczem zespołu, spojrział w lustro, przeraził się i pobiegł do fryzjera. Tego samego dnia grano mecz z Czechosłowacją, Stogowski pusił fatalnie 4 bramki, mecz skończył się porażką Polaków. Na tej samej olimpiadzie drużyna czechosłowacka nie goliła się przez kilkanaście dni. Gracze wyglądali jak uciekinierzy z Sowietów, ale zespół doszedł do finału i zajął w tabeli doskonałe miejsce.

Ludźmi bardzo przesądnymi są tennisiści. Trochę z przekonania, trochę dla mody. Biały sport doskonale nadaje się do różnego rodzaju efektownych maskot. Najlepsza tennisiстка wszystkich czasów, Zuzanna Lenglen zaczynała swą karierę w roku 1913-ym z żółwem, który jej przez długie lata przynosił szczęście. „Łatający Bask”, Jan Borotra uważa za maskotę swą granatową cza-

peczkę baskijską. Wiele razy zdarzało się, że zapomniał ją włożyć przed grą. Pierwszy set przegrany. Awantura, szukanie beretu (nierzadko posyłało się specjalny samochód do domu). W drugim secie idzie lepiej. Słońce praży, pot leje się strumieniami z czoła fenomena tenisu — czapeczka siedzi na głowie, gdyż „przynosi szczęście”. W rezultacie—mecz wygrany. Były tenisowy mistrz świata, Lacoste uważał za swą maskotę dobrze znaną wszystkim interesującym się tenisem białą czapkę (typ „cyklistówki”) z daszkiem. Grał w niej nawet wówczas, gdy nie było słońca. Tak samo nowy mistrz świata na rok 1932, Vinez (St. Zj.). Nie ukazuje się on na korcie bez białej czapeczki.

Tłoczyński uważa za dobry omen, gdy mu się wszystko przed meczem nie składa. Poza tem przed każdym ważnem spotkaniem ogląda... kolano damskie, ubrane w jedwabną pończoszkę. Może mecz nawet przegrać, ale



gdy obejrzy kolano czuje się wtedy dobrze i ma szczęście w grze. Maks Stolarow w czasie gry ma zawsze w kieszeni małą żabkę utkaną z wełny. Istnieje wielu tenisistów, którzy „robią czary” ręcznikiem, rozwieszając go szeroko na siatce, to znów skracając „w sznur” i t. p. Sposób bardzo rozpowszechniony.

Przedziwne pomysły trzymają się turystów górskich, letnich i zimowych. W worku jednego z narciarzy niżej podpisany widział (w schronisku na hali Chochołowskiej) w pudełku wśród drobiazgów do szycia — szczękę kota, owiniętą starannie w skórę irchową. Mimo kpin kolegów, przesądny narciarz za żadne skarby nie chciał się rozstać z fetyszem.

Idąc przed dwoma laty ze znanym taternikiem, dr. L. z hali Gąsienicowej przez Kasprowy do Zakopanego wziąłem na kilka minut jego plecak, aby strudzony turysta nieco odzignął. Cos mnie pije w plecy. Otwieram plecak, wyjmuję... podkowę! Wielką

i ciężką jak młot. Chciałem wyrzucić to żelastwo — omal nie dźgnął mnie kijkiem. Bez szemrania wziął plecak i poszedł, sapiąc na przełęcz. Ten, kto niósł plecak w górach rozumie czym jest balast ciężkiej podkowy na wysokość 2000 mtr. (wyrzuca się z plecaka nawet najłżejsze, niepotrzebne lub mało potrzebne drobiazgi). Lecz to był jego fetysz. Mówił, że bez podkowy zginie na drugi dzień. Inna rzecz, że dr. L. dwa razy napotkał lawinę i wygrzebał się szczęśliwie z opresji.

Wioślarze regatowi mają przesąd, że nie należy jeździć na zawodach w specjalnie kupionych pantoflach sportowych. W Warszawskim Tow. Wiosł. szczególnem poważaniem cieszą się... stare lakierki

Bokserzy mają przesady podobne do przesądów... bridżystów. Jeśli pięściarz mający walczyć tego dnia widzi, że danego wieczoru (zawsze rozgrywa się 6—8 walk) bokserzy, którzy siadają na ringu w rogu np. północnym — przegrywają, z chwilą gdy nadejdzie jego walka, za żadne skarby nie siada w tym rogu. Natychmiast po ogłoszeniu wyniku poprzedniej walki rozebrany bokser wpada na ring i zajmuje upatrzone róg.

Bokserzy należący do czarnej rasy mają amulety najróżniejszych typów. Zdarzają się korzenie z drzew egzotycznych, a nawet znana z filmu Chaplina („Światła wielkiego miasta”) królicza łapka, którą się naciera najdelikatniejsze części ciała: serce, szczękę, „dolek”, żołądek, brodę i t. p. Praktyki te mają chronić skutecznie od nekautu.

Bardzo przesądni są automobiliści. Wielu z nich uważa, że zarost przynosi szczęście i dlatego „rajdowcy” wyglądają na mecie etapów, jak nicejskie maski karnawałowe.

Trzynastka także nie cieszy się popularnością w świecie samochodowym. Wiceprezes Automobil Klubu Polski, Regulski opowiadał mi, że jako kierownik rajdów miał wiele kłopotów z „przydzielaniem” trzynastego numeru, z którego najczęściej trzeba było zupełnie zrezygnować. Wielokrotny mistrz Polski, inż. Henryk Liefeldt miał tego rodzaju przesąd, że przed startem do zawodów przekręcał korek na chłodnicy (znak klubowy lub figurkę) na „ostro” (normalnie znak na chłodnicy stoi swą szeroką płaszczyzną frontem do kierunku biegu). Ten przesąd stał się później u wielu automobilistów polskich



zwyczajem. Wicemistrz Polski z roku 1929, p. Stan. Szwarcsztajn uważał za nieomylny znak nieszczęścia w wyścigu, jeśli w wilgę lub w dzień zawodów spotkał pogrzeb z lewej strony. Koniecznie z lewej! — Najodważniejszy nasz kierowca, b. mistrz Polski, Jan Ripper nie pozwala kobiecie — zwłaszcza młodej i ładnej — siąść do swego wozu wyścigowego. Raz omal ręki nie wyrwał z ramienia jakiejś biedaczce, która chciała niespodzianie sprawdzić, czy na siedzeniu wyścigówki siedzi się wygodnie.

Kolarze przywiązują ogromną wagę do tego, kto ich trzyma, względnie „puszcza” na starcie (zawodnika przy starcie podtrzymuje kolega, wypychając go naprzód po sygnale). „Wypychacz” ze szczęśliwą ręką ceniony jest na wagę złota. Najpopularniejszy kolarz polski, Józef Lange uważa, że bardzo poważny procent zwycięstw zawdzięcza „lekkiej ręce” swego masażysty — Kamińskiego, który go zawsze trzymał na starcie. Masażysta ów uważany był przez kolarzy za fetyusza do tego stopnia, że go „pożyczano” na starty za odpowiednie... koncesje. Wieloletni mistrz Polski, Henryk Szamota uważa za swego fetyusza kawałek płótna z numerem „13”. Mając ten numer na plecach w r. 1931 pokonał na torze Municipal w Paryżu mistrza Francji, Chemievieres'a. Był to dla Polaka sukces wspaniały. Od tego czasu Sza-

13

mota wozi ze sobą wszędzie ten numer, a przed biegiem przyczepia go pod koszulkę. Inni kolarze za nic na świecie nie włożą trzynastego numeru. Przesąd ten zakrzewił się na torze W. T. C. w Warszawie: tak dalece, że z programów na stałe skreślono „trzynastkę”.

Niektórzy kolarze uważają za szczęśliwe własne koszulki. Za żadną ceną nie chcą



startować w innych. W czasie oficjalnych mistrzostw Polski, kapitanowie klubowi mają z tym przesądem wiele kłopotu, gdyż asy nie chcą jeździć w barwach swego klubu. Trudny problem rozwiązano w ten sposób, że pod koszulkę klubową wciąga się trykot „szczęśliwy”.

Rekord przesądności biją jednakże lotnicy, zwłaszcza starej daty. Spotykamy tutaj niezwykłą różnorodność fetyzów. A więc skarabeusz w kieszeni lub na palcu, różnego rodzaju bransoletki na rękę, przeróżne Miki-Mouse'y, laleczki, niedźwiadki, tygrysy, małpki, i t. p. przyczepiane drutem do skrzydła, do kadłuba lub w kabinie. Wielu lotników nie lata 13-go, wielu zawraca, jeśli im zajęć drogę przy starcie przeleci, wielu nie startuje, gdy ich fotografują przed odlotem lub gdy ksiądz przyjdzie na lotnisko. Poza tem „dobrze jest” mieć dużo pieniędzy w portfelu w czasie lotu.

Najbardziej jednak rozpowszechniony jest zwyczaj latania z pończochą ukochanej na głowie. Istnieje cały ceremoniał zakładania



tej pończoszki (musi być własnoręcznie przez pilota zdjęta z nogi). Otwarty koniec pończoszki zakłada się na głowę, potem okręca się szyję dookoła i koniec ze stopą wtyka się pod część nasuniętą na głowę. Dopiero na pończoszkę zakłada się helm skórzany. Przesąd ten tkwi bardzo głęboko. Jeden ze znajomych lotników, kpt. R., z głębokim przejęciem opowiadał mi o wypadku, jaki mu się zdarzył. Raz jeden tylko zapomniał zabrać pończoszki z domu i najniespodziewaniej w świecie „kropnął” się poważnie pod Wilanowem. Zaiste „świat przesądów jest większy, niż ziemia, a mocniejszy od skały”, jak powiedział któryś z filozofów średniowiecznych.





Szpieg Markot:

...A w notesie kryjomie imiona spisuję
... I tak na trop spisku
wpadam zlekka, powoli...
Oto tu mam notaty.

(dobywa papierów)

Co — ? — Foljały całe!

(St. Wyspiański: Noc Listopadowa)

EUGENJUSZ M. SCHUMMER

Akademia szpiegów

Ołowianą ciszę nocy przerwał gwałtownie jazgot mosiężnego dzwonka. Oficer porwał się z pościeli.

— Czort pabieril! Kogo djabli prowadzał!...

Po chwili wszedł zaspany ordynans.

— Jacyś ludzie przyjechali autem po pana porucznika. Wpuścić?

— Wpuść.

W progu stanęło trzech zamaskowanych mężczyzn.

— Ubrać się natychmiast! Czekamy.

Po upływie piętnastu minut, czarna, lakierowana maszyna rwała z wściekłą szybkością. Porucznik, wepchnięty do ciemnego pudła samochodu, obijał się o ściany, jak chrząszcz w pudełku od zapalek. Dokąd go wiozą? Wpił oczy w szybę. Nieprzenikniony mrok. Omackiem poszukiwał kontaktu: nie działa! Zapalił zapalstkę. Aha, szyby są z czarnego szkła. Spróbował otworzyć drzwiczki: zamknięte na klucz!

Nie był w stanie określić kierunku jazdy. Auto, wyjąc jak potępieniec, mknęło z szybkością wystrzelonej rakiety. Czasami skręcało raptownie — porucznik odczuwał to na własnym boku — czasami sprawiało wrażenie, że kręci się w miejscu. Ile wyciąga: może sto kilometrów? Ech, więcej!... Mróz zimny przemknął mu wzdłuż krzyża pacierzowego.

Minuty lecą. Oficer zapala zapalstkę i spogląda na zegarek. Już pół godziny upłynęło,

odkąd doznaje tej zwarjowanej i niebezpiecznej hustawki!

Zgrzyt hamulca. Zmiana przekładni. Stoją. Klucz obraca się w zamku. Dłoń w czarnej rękawiczce daje oficerowi znak: wysiadać. Czuje, że kręci mu się w głowie. Stąpa podtrzymywany przez maski. Wepchnięto go do jakiejś komórki, ciemnej, jak noc. Komórka poleciała do góry. Oficer chwytą się za głowę...

I nagle ocknął się w olbrzymim pokoju, oświetlonym miljonem świec. Przed nim stoi kapitan Pekka.

— Pan wyraził gotowość wstąpienia na służbę szpiegowską?

Oficer jeszcze nieprzytomny, nie może wydobyć głosu z krtani. Widzi przed sobą trzech kapitanów Pekka! Wszyscy trzej uśmiechają się ironicznie. „To jeszcze nic — to tylko pierwsza próba” — słyszy. Aha! Niema co, przyjemna próba, niech ją djabli!...

— Niech pan siada, — Pekka wskazuje mu fotel, — teraz sobie pogawędzimy spokojnie.

Zaczyna mówić. Powoli. Dobitnie. Mocno. Czy porucznik wie, co to za fach? No, powiedzmy niebezpieczny, ryzykowny. Tak. W profesji szpiegowskiej — mówi kapitan Pekka — jest coś tajemniczego, coś niedłwie mistycznego, co wymaga od człowieka zupełnego oddania się, przytomności umysłu wprost heroicznej, siły woli, uporów, zamiłowania, pasji, takiej jaką ma myśliwy,

tropiący zwierza. Czy dobrze zrozumiał? Może się jeszcze cofnąć, jeśli chce... Nie? To pięknie, zobaczymy. Tymczasem — do s w i d a n j a! Pekka odwraca się na pięcie i z dą-
ża w stronę biurka, na którym widać całą
baterię telefonicznych aparatów.

Porucznikowi zawiązano oczy czarną, je-
dwabną chustką. Znowu znalazł się w win-
dzie. Zjechał nadół. Znowu wepchnięto go
do czarnego pudła samochodu. I znowu au-
to wpadło w nieprzenikloną noc z szaleń-
czym rozpędem.

Pekka tymczasem mrużył nad biurkiem
oczy i sarkastycznie się uśmiechał. „Ten wy-
trzyma, zdaje się, chociaż, co tu można wie-
dzieć...?” Zajączał telefon. „Hallo? Tak, był
przed chwilą. Zobaczymy. Zdaje się, że od-
powiedni”.

*

Wicher poruszał z łoskotem drewniane
okiennice, które skrzypiały na zardzewiałych
zawiasach, jak stado piskląt-puszczyków.

„Akademia” rosyjskich szpiegów w czasie
wojny mieściła się pod Minskim. Szef „wy-
szkolenia”, kapitan Pekka, z pochodzenia
Łotysz, wybrał w tym celu opustoszały kla-
sztor, zbudowany w głębi lasu, gdzie o trzy
mile dokoła nie było ani jednej ludzkiej sie-
dziiby. Dwie czy trzy rodziny chłopskie, od
lat osiedlone w pobliżu, kapitan wywłaszczył
i przeniósł do innej gubernji.

Gmach poklasztorny miał mnóstwo cel,
które pozostały niezamieszkałe, puste i nie-
opalone. Dla „wykładów”, a zarazem do pry-
watnego użytku kapitana, służył tylko obszer-
ny refektarz. Stało w nim duże biurko, pełne
papierów, aktów, notatek. W rogu ustawiono
połowe łóżko, obok stała umywalnia z nad-
łupaną miednicą. Poza tem izba świeciła go-
lizną. Uwagę zwracała nieprzeliczona ilość
telefonicznych aparatów, ustawionych na
biurku, na podłodze, na oknach, wszędzie.



Zasięg tej centrali szpiegowskiej rozciągał
się na cały wschodni front armji rosyjskiej.
Rola jej była nadto o tyle poważna, iż po
drugiej stronie frontu, w Szawłach, znajdo-
wała się centrala wywiadu niemieckiego.

Kapitan Pekka, organizator szkoły, zastoso-
wał w swej pracy inną metodę, niż nie-
przyjacieli. Oparcie służby szpiegowskiej na
jednostce indywidualnej, uznał on za błędną.
Postanowił zorganizować gęstą sieć, któraby
się wzajemnie zązębiała, kontrolowała. Oka-
zało się, że system ten daje lepsze rezultaty.

Na początku swej działalności Pekka zwró-
cił się do rosyjskiego sztabu generalnego
z prośbą, aby przysyłało mu tych kandyda-
tów, którzy okazują chęć wstąpienia do służ-
by szpiegowskiej. W ten sposób miał wielu
ludzi, z pośród których mógł swobodnie wy-
bierać według własnego uznania.

Wybór jego zatrzymywał się na jednost-
kach inteligentnych, umysłowo bardziej roz-
winiętych, orjentujących się przytem w oko-
licy. Zanim takiego „neofitę” wtajemniczył
w arkana szpiegostwa, uprzednio systema-
tycznie wyprobowywał go, ostrzegał przed
niebezpieczeństwem, poddawał całemu szere-
gowi prób, jakby żywcem przejętych z oby-
czajów wolnomularskich. Jeżeli ochotnik nie
zrażał się, nie okazał strachu, nie zniechęcał
się — Pekka rozpoczynał z nim „wykłady”.
Ochotnika umieszczano wówczas w jednej
z cel, skąd nie wolno mu było wyjść bez
pozwolenia władzy. Komunikacja z innemi
celami również była niemożliwa: żaden
szpieg nie mógł porozumiewać się z drugim.
Do ogrodu na spacer wolno było wyjść raz
dziennie. Drzwi jego celi otwierały się tyl-
ko na dźwięk dzwonka. Zjawiał się ordynans,
który milcząc stawał posilek oraz spełniał
zwykłe posługi.

Pekka wykladał warunki przyszłej profe-
sji. Zaznajamiał słuchacza z ogólnym ukła-
dem pozycji wojsk, kreslił na mapie rozkład
baterji, forty, okopy, wymieniał nazwy puł-
ków. Słuchacz dowiadywał się, gdzie się znaj-
dują składy nieprzyjacielskiej amunicji i pro-
wiantów, gdzie grasują szpiegowie wro-
ga i t. p.

„Zadawano” lekcje również na dzień na-
stępny. „Akademik” musiał przygotować
własnoręczny wykres jakiejś forticy lub od-
sysować szkic oddzielnych pozycji.



znaleziono wywiadowczą kartkę długości czterech i pół metra!

Pomysłowość szpiegów była istotnie nie zwykła. Baron Grote, autor książki p. t. „Vorsicht! Feind hört mit!”, w której opowiada o fantastycznych metodach szpiegostwa w czasie wojny światowej, ilustruje rzecz fotografiami, które laików wprowadzają w podziw.

Do jakich tam uciekano się konceptów, aby ująć cało z rewizji! Ile okazywano sprytu! Jak wnikliwą psychologię i znajomość duszy ludzkiej ujawniają pomysły szpiegowskie!

Jeden szpieg chowa skrawek papieru w... sznurowadło od buta. Inny związa notatkę w tutce od papierosa, jeszcze inny potrafi zrobić należyty użytek ze zwykłego klucza! Albo owa tragicomiczna historia z psem! G. R. Berndorff opowiada w swej książce o szpiegostwie, iż Niemców na wschodnim froncie zdumiewała zręczność rosyjskich szpiegów, którzy w ciągu dłuższego czasu bezkarnie przenosili przez granice najcenniejsze informacje. Dopiero przypadek odkrył całą tajemnicę. Oto przytrzymało na granicy wieśniaka, który prowadził na smyczy psa. Zwykłego wiejskiego kundla. Wiesniaka poddano szczegółowej rewizji. Nic podejrzanego przy nim nie znaleziono. Puszczono go więc swobodnie. W trakcie rewizji pies okazywał żywe poruszenie i zdradzał gwałtowną chęć potrzeby naturalnej. Wiesniak był tem zachowaniem psa przepło-



Po ukończeniu kursu wstępnego, wtajemniczano szpiega w inne tajniki. Mówiono mu, czego się od niego żąda, co musi wysledzić, jakie wiadomości są potrzebne. Więc np.: winien był ściśle zbadać, jaką wróg rozporządza w danym odcinku amunicją, jaki jest kaliber dział, jakie wznosi fortyfikacje.

Pekka ustanawiał miesięczną pensję szpiega. Każdy z nich otrzymywał przyzwoite wynagrodzenie na wydatki, nie do ręki jednak; zwykle składano pewną sumę do dyspozycji szpiega w jakimś określonym miejscu. Wysokość honorarium wahała się w zależności od uzyskanych mniej lub więcej cennych informacji.

Na tem kursy nie kończyły się jeszcze.

W dalszych wykładach uczono szpiega charakterystyki, obcych języków, podrabiania dokumentów, wreszcie szyfrów. Umownych szyfrów bowiem była niezliczona ilość.

Raz więc, o ile szpieg odgrywał — powiedzmy — rolę nauczyciela muzyki, winien był poznać nuty. Kompozycja znaków muzycznych wybornie nadawała się do szyfrów szpiegowskich. Innym razem, szpieg, który działał w przebraniu duchownego, posługiwał się biblią lub ewangelją. Umówione stronicy książek miały podziurkowane szpilką litery, które w rezultacie układały całe zdania. Uczono także szyfrów na zwykłych obrazkach i rysunkach. Rysunek niewinnego motyla lub liścia z jego unerwieniem, nierzadko bardzo dawał precyzyjne i cenne informacje. Bardzo korzystne okazywało się, jeśli szpieg miał sztuczne zęby. Wkładano mu wówczas do szczęki całe foljaty notatek, jak to ujawniono w czasie wojny, kiedy w sztucznej szczęce pewnego szpiega

szony i czym prędzej chciał z nim odejść. Niestety, pies nie mógł doczekać, kiedy się jego pan upora z rewizją i dokonał nieprzewidywanej potrzeby. Jakież było zdumienie agentów, kiedy ujrzeli raptem metalową tubkę, pełną ważnych notatek szpiegowskich!

Odtąd wydano rozkaz wyrzucania wszystkich psów na pogranicznym odcinku i w ten sposób przerwano ów szpiegowski szmugiel, w którym główną zasługę niewątpliwie przypisać należy pocziwym wiejskim kundlom.

Niebawem „szkoła” kapitana Andrzeja Pekki nabrała rozgłosu, iż ochotnicy tłumnie przybywali ze wszystkich stron, aby zaofiarować swe usługi. Trzeba było odrestaurować wszystkie nieomal cele, w których zapanowała reguła bardzo do klasztornej podobna. „Akademy” nigdy się nie spotykali. Tylko szelest za ścianą mówił im, iż nie są samotni w tej pustelni.

Pod koniec wojny pewien ryzykant, oficer wywiadu niemieckiego, postanowił spenetrować centralę szpiegostwa rosyjskiego. Dowództwo niemieckie wieleby dało za zdobycie bogatej kartoteki kapitana Pekki! Pewnej nocy u wrót „akademii” stanął wynędzniały osobnik i zażądał, aby go wpuszczono.

Wylegitymował się najformalniejszym paszportem rosyjskiego oficera. Wraca z frontu niemieckiego, jest wygłodzony i zziębnięty, czy kapitan pozwoli mu tę noc przepędzić u siebie? Pekka zgadza się. Ale długo nie może zasnąć. Dręczą go złe przeczucia. Zasypia wreszcie na krótko. O północy budzi go szmer w sąsiednim pokoju, w którym mieścili się najważniejsze akta. Pekka zrywa się z pościeli, chwytając rewolwer, wpada. Na środku izby ów przybyły „brodiaga” kończył właśnie pakować węzelek, w który zdążył już naładować ważne dokumenty. Celny strzał Pekki udaremnił jego ambitne plany.

*

Mieszkańcy Rygi mają po dziś dzień możność spotykania na ulicach miasta wytwornego, siwego pana, z nieodłącznym parasolem w dłoni, z lewem okiem uzbrojonym w lśniący monokl. Starszy pan przechadza się powoli — jak mumja. Przyjrząwszy mu się bacznie — nietrudno odgadnąć, iż siwowłosego gentleman żyje już tylko wspomnieniami romantycznej przeszłości.

— To doktor praw, kapitan Andrzej Pekka. Były dyrektor szpiegowskiej „akademii”...

Bekanntmachung.

Durch das Feldgericht beim Gouvernement Warschau sind am 4. September 1915, wegen Spionage gegen das deutsche Heer zum Tode verurteilt worden:

1. Peter Ryschkin,
2. Stefan Szymanski,
3. Wasili Pietrek,
4. Czesław Niemożykiewicz

Sie wurden am heutigen Tage erschossen.

Warschau, das 8. September 1915.

Der Gouverneur.

Ogłoszenie

Przez sąd polowy przy Urzędzie Gubernialnym miasta Warszawy zostali skazani na śmierć dnia 4-go września 1915 r. oskarżeni o szpiegostwo przeciwko armii niemieckiej:

1. Piotr Ryschkin,
2. Stefan Szymanski,
3. Wasili Pietrek,
4. Czesław Niemożykiewicz.

Powyżsi dziś zostali rozstrzelani.

Warszawa, dnia 8-go września 1915 r.

Gubernator.



fol. Dr. A. Wieczorek, Zakopane

Portal (Kościół Bożego Ciała, Kraków)



por. J. Zdanecki, Wilno

H. NOWACZYŃSKA

O DZIECIACH O MODZIE O ZABAWKACH



Na wyiskrzonym niebie nocy lipcowych błyszczą dwie piękne gwiazdy w orszaku licznych swych siostrzyc. Japończycy nazwali je Prządką i Pastuszkciem, a podanie głosi, że ta promienna para — to kochankowie, rozdzieleni na wieki nieubłaganym wyrokiem losów. Raz tylko do roku rwący potok gwiazd Drogi Mlecznej zwręży się do tego stopnia, że słowiki mogą na swych skrzydłkach podnieść jedno ku drugiemu. Podnieść i zbliżyć, ale nie połączyć. Tyle tylko, że zakochani mogą pozdrowić się wzrokiem i wypowiedzieć wieczną swą tęsknotę. Dzień ten, 7-my lipiec, święcony jest w krainie chryzantem z wielką uroczystością. Jest on świętem dobroci i zakochanych, ale przede wszystkim — świętem dzieci.

Japonia kocha swoje dzieci i dba o nie może więcej od innych narodów cywilizowanych, poświęcając jeszcze dwa inne dni w roku ich wielkiej radości. W marcu, w czasie pierwszego wiosennego rozkwitu święci się dzień dziewczynek i lalek, nieco później, w maju — jest święto chłopców.

Bo dziecko jest skończoną pięk-

nością; dziecko jest cudem. Oto życie było bez sensu, choć po brzegi wypełnione oszukańczo pustym rozgwarem. I pojawił się malutki człowieczek, który rozkazuje: patrz na mnie! i żyj tylko dla mnie! Pierwszem swem kwileniem przewraca wszelki ustalony porządek pojęć i bezapelacyjnie obwołuje się bóstwem... Odtąd w tej najsłabszej istocie zamyka się radość dnia i nocy, cały urok egzystencji. Cóż może być jeszcze warte zabiegów, poza tą drobną duszą, która zaczyna pracę poznawania? Lata jednak mijają. Pod delikatną skórą twardnieją mięśnie, w główce rodzi się coraz więcej myśli — i oto dziecko wkracza w zaczarowaną krainę, w swój własny świat dziecięcy. Wszystko tam jest pełne uroku, począwszy od drobnej i pięknej wróżki, skończywszy na chatce z pierników baby-Jagi. Każde nieznane ma swoisty czar i staje się na swój sposób zrozumiałe. Tylko ludzie dorosli pozostają okryci tajemnicą, niby czarnym płaszczem.

Świat bowiem stanął na straży szczęścia malutkich, stwarzając jedno wspólne święto dla wszystkich dzieci na całym globie ziemskim, świę-



to „Gwiazdki”. Pod choinką muszą się znaleźć upominki, ale jakie? czy odpowiadają one marzeniom małej główki? Jestem zdania, że obyło by się bez niejednej cichej — lub głośnej — tragedji w pokoju dziecięcym, gdyby starsi zaczęli się uczyć niektórych rzeczy od dzieci...

— Czem będziesz, Janeczku? — spytałam przed laty czteroletniego baka.

— „Maryniarzem” — brzmiała odpowiedź. — Januszek jest w tej chwili porucznikiem marynarki polskiej. Nie ulega wątpliwości, że dał już wówczas wyraz swemu powołaniu, tem-

bardziej, że żadnej Maryni nie zauważyłam dotąd „na rozkładzie”. — Januszek otrzymał łódź z wielkim żaglem, najdoskonalszy model kutra rybackiego i puszczał ją z wielkim zapalem na wszelkie dostępne mu wody, nie wyłączając wanny domowej. — „Adasiu — powiedziałam w Zakopanem do błękitnookiego chłopczyka — czy nie zechciałbyś mi zerwać tego krokusa? „—” Ja dla pani limbę z korzeniem mogę wyrwać, nietylko marny kwiat”!... — usłyszałam w odpowiedzi nieustraszone słowa. Bowiem mężczyzna jest rycerski, nawet, gdy ma lat dopiero 8.



Dla takiego, jakby stworzony jest komplet ułański w stylu Księstwa Warszawskiego, żołnierze ołowiani, forteca i armaty. Komu potrzebny jest w rodzaju „hulaj — nogi” — nie wiem, w każdym razie nie urwisom w stylu depeszy babuni: „Zabierzcie dzieci, przyslijcie trzęsienie ziemi”. Babunia, jak wiadomo, miała pod opieką wnuczka, których rodzice zamieszkiwali strefy, dotknięte przez żywiołowe kataklizmy. Ze względu na stare lata babuni poleciłabym w tym wypadku budownictwo, rozwijające podstawowe zasady konstruktorskie. Niech sobie

stawia drapacze chmur, czy zamki średniowieczne, niech nawet poszukuje nowych form współczesnych, nikomu tem nie zaszkodzi, a w domu będzie spokój. — Dalej radziłabym wykorzystać zainteresowanie, jakie młodzież okazuje wszelkim zjawiskom fizycznym. Dopomoże do tego „Młody Edison” — zbiór przyborów elektrotechnicznych, które dają możliwość samodzielnego budowania dzwonków, sygnałów, telefonu i telegrafu.

Z dziewczętami jest trudniejsza sprawa, gdyż są daleko bardziej skomplikowane od chłopców. Dawniej, gdy dziewczynka była wyjątkowo roz-



Ileż godzin rozrywki może dostarczyć jedna zabawka

Wystawy sklepowe są prawdziwą atrakcją dla małych widzów





tropna i odważna, mówiło jej się, jako najwyższy komplement: jesteś dzielna, jak chłopiec! Nic więc dziwnego, że myślały o sobie, jako o istotach niepełnowartościowych. Dzisiaj — nic podobnego. Wysportowana, ucząca się według tego samego programu, co chłopiec dziewczynka jest również jak on odważna, samodzielna i pewna siebie. Pomimo jednak te nowe dla siebie zdobycze, pozostała małą kobietką. A więc lubi welocyped i rakietę tenisową, ale nade wszystko kocha lalki i lubi się ubrać. — Od najwcześniejszych lat wie, co jej się podoba, w czym jej będzie do twarzy. Niema w niej wahania, ani braku decyzji. Kolor, fa-
 ser i nawet przybrania były przedmiotem jej rozmyślań. Dzisiejsza dwunastoletnia dziewczynka potrafi już doradzić matce, jak ma się ubrać. Są wśród nich urodzone sportmenki, — ale ich pullovery, spódniczki, czy spodenki łączą konieczną praktyczność z wymaganiem kokieterji. Widać w nich dbałość o szyk — i to

„wiecznie kobiece“, które tak wcześniej się budzi.

Trudno jest mówić o modzie dziecięcej, określić, na czym polega, gdyż jest ona poprostu odbiciem mody dorosłych. Oczywiście z pewnem zgaszeniem zbyt jaskrawych efektów i zachowaniem umiaru w pomysłach. Naogół widzimy — tak, jak u starszych poszerzone ramiona, skośne zapięcia i przybrania z licznych guzików. Rękawy, które służyły damskim krawcom do wyładowania nadmiaru fantazji, tu muszą być proste, koszulkowe, z mankietem, jeżeli chodzi o suknie codzienne. Sukienki te, z wełny gładkiej, przerabianej białą ritką, lub diagonalu, muszą odznaczać się prostotą i być utrzymane w kolorach ciemnych, jak granat, lub bronz, w bogatej skali tonacji. Białe kołnierzyki z piki, jedwabnego płótna lub rurkowanej organdy będą ślicznym tłem dla świeżych buziaków. Najmłodszych ubierzemy w lekką wełnę koloru beige lub ognistą czerwień... Spódniczki proste, ale szero-





kie, dzięki bocznym fałdom i zakładkom. Młode pokolenie nosi paski, podczas gdy my je już potrochu zarzucamy. Paski szerokie, nabijane niklem gwoździ, paski wąskie i gładkie, lub plecione z różnokolorowej skóry. — Palta, oczywiście tylko t. zw. angielskie, z dużymi kieszeniami i z kołnierzykiem z poczciwych zajęczków lub królików, w najlepszym razie — ze żrebaków. — Broń Boże kosztowne futra dla dzieci; jest to w wysokim stopniu parwenjuszow-

stwem i do tego w najgorszym guście. Co do kapeluszy, najmilsze są dla młodych twarzyczek zgrabne, wygięte filce i berety.

To na codzień. A na bale i zabawy, owiniemy panienkę w muslin, markizetę lub białą organdyne, zaakcentujemy powiewność postaci falbankami, wymarszczeniami, damy krótkie bufki zamiast rękawów i przepaszemy szeroką, jedwabną szarfą wiotki stan.



Szklanka mleka
łyżka cukru
i Kakao

to 100-gramowa tabliczka

J A S N E J M L E C Z N E J
W E D L A

30 milionów bezrobotnych!

„Pracy! pracy nam dajcie!” — oto okrzyk, który wyrwa się z płuc milionów bezrobotnych. 30 milionów bezrobotnych na świecie w państwach „cywilizowanych”, w tem 15 milionów w Europie i 12 — w Stanach Zjednoczonych A. P.! 30 milionów niezaspokojonych żołądków!

W krajach najbardziej uprzemysłowionych, jak Niemcy, Anglja i Stany Zjednoczone, co trzeci pracownik jest bezrobotnym. W Polsce znajdujemy około 420 tysięcy bezrobotnych robotników i 110 tysięcy bezrobotnych pracowników umysłowych.

Tak olbrzymia armja bezrobotnych nie powstała równocześnie. Według obliczeń, przeprowadzonych przez wybitnego statystyka niemieckiego, Adolfa Aghte, okazuje się, iż bezrobocie w Europie powojennej jest zjawiskiem stałym. I tak: w okresie lat 1921—1925 na rynku pracy w Europie znajdowało się stale około 5 milionów bezrobotnych. W latach 1927—1929 liczba ta wzrosła o dwa miliony, w roku 1930 — o dalsze dwa miliony, aby w końcu 1931 r. dojść do wysokości 12 i pół miliona osób.

Cofając się wstecz do stosunków przedwojennych, możemy spostrzec, iż bezrobocie jest perjodycznym zjawiskiem, nawiedzającym stale ludność krajów, które wkroczyły na drogę gospodarki kapitalistycznej. Prawa rozwoju ustroju kapitalistycznego prowadzi od ożywienia do kryzysu. Kryzysy powstawały mniej więcej w okresach dziesięcioletnich. Jednak w czasie żadnego z poprzednich kryzysów gospodarczych natężenie bezrobocia nie było tak silne, jak obecnie. Natężenie to jest o połowę większe od natężenia bezrobocia w latach kryzysu 1858-go i 1879-go roku, okresach najwyższego bezrobocia przed wojną. Jednocześnie stwierdzamy, iż przed wojną stale na rynku pracy znajdował się pewien zastęp bezrobotnych.

Zastęp ten wynosił w krajach przemysłowych, jak np. w Anglii, od 2% do 4% ogółu zatrudnionych. Zastęp ten stanowił rezerwową armję pracy.

Po ostatniej wojnie światowej, której plonem było 10 milionów zabitych, 7 milionów przedwcześnie zmarłych i która kosztowała około 100 miliardów dolarów, zdawało się, iż zabraknie rąk do pracy. Należało bowiem odbudować zniszczone warsztaty pracy i zwiększyć produkcję rolniczą, aby móc zaspokoić potrzeby głodujących mas ludności. W kilka lat po wojnie zdolność wytworczą odbudowanych zakładów wzrosła, w stosunku do przedwojennej kilkakrotnie, rolnictwo wzmogło produkcję do takiej wysokości, iż obecnie może zaspokoić potrzeby żywnościowe wszystkich. A jednocześnie głoduje 30 milionów ofiar bezrobocia, gdyż ich praca, jedyny towar, jaki mogą sprzedać na rynku, aby uzyskać wzamian niezbędne środki żywności, nie może znaleźć zastosowania. Niema dla nich miejsca przy warsztatach pracy. Czyżby zabrakło tych warsztatów? Nic podobnego: tysiące fabryk stoi bezczynnie, miliony warsztatów czekają na człowieka, aby zostać uruchomionymi. Uruchomic tych warsztatów nie można, gdyż niema zbytu; zbytu niema, bo miliony bezrobotnych nie mogą uczestniczyć w wymianie swej pracy na wytwory produkcji — i tak wókolko. Równowaga pomiędzy produkcją a konsumpcją została zachwiana. Kosztem zmniejszenia siły nabywczej mas rozbudowano nadmiernie aparat wytwórczy, co w wyniku musiało doprowadzić do względnej nadprodukcji. Względnej, gdyż zapotrzebowanie na towary istnieje, nie może być tylko zrealizowane wobec pokrzywdzenia mas konsumentów przy podziale dochodu społecznego. W ustroju prywatnej własności warsztatów pracy pokrzywdzenie to odbywa się w ten sposób,

iż przedsiębiorca nie płaci pracownikom i robotnikom za ich pracę takich płac, które umożliwiałyby im nabycie przeznaczonych dla nich towarów.

Nie będziemy dalej zagłębiali się w analizę przyczyn obecnego kataklizmu gospodarczego, gdyż przerastałoby to ramy naszego feljetonu. Przyczyn tych eksperci, powołani przez Międzynarodowe Biuro Pracy, zestawili przeszło 1000.

Przejdźmy teraz do omówienia zagadnienia bezrobocia w Europie. Jak już na wstępie zaznaczyliśmy, ogarnęło ono około 15 milionów osób. Łącznie z rodzinami stanowi to 40-to miljonową rzeszę, równą co do wielkości ludności całej Francji. Na 100 pracujących w górnictwie i w przemyśle przypada 30 bezrobotnych. Najwyższe natężenie bezrobocia notujemy w Niemczech, Czechosłowacji, Irlandji, Austrii, Norwegji i we Włoszech. Najślabiej odczuwają bezrobocie kraje o drobnej własności rolnej, jak Francja, Finlandja i Szwajcaria.

Charakterystycznym zjawiskiem jest stosunkowo słabe bezrobocie wśród kobiet. Badania, przeprowadzone przez b. inspektorę pracy, Halinę Krahelską, wykazują, iż pomimo zmniejszenia się ogólnej masy zatrudnionych, udział kobiet w tej masie wzrasta. Kobiety zastępują zwolnionych mężczyzn, gdyż praca ich, jak dotychczas, jest znacznie tańsza od pracy mężczyzn.

Jeżeli zajmiemy się stosunkami w Polsce, to okazuje się, iż bezrobocie u nas, podobnie jak zagranicą, jest po wojnie zjawiskiem stałym. Na rynku pracy znajdujemy stale poważny zastęp bezrobotnych. Najniższy stan bezrobocia notujemy w r. 1923 — około 100 tysięcy osób, następnie obserwujemy ciągły wzrost do roku 1926 do wysokości 370 tysięcy osób; od tego czasu obserwujemy spadek do 170 tysięcy w r. 1928. Od r. 1929 bezrobocie wzrasta aż do chwili obecnej (530 tysięcy bezrobotnych).

Bezrobocie jest tragedją nie tylko osób zredukowanych, lecz ponadto klęską młodzieży, która nie może zacząć pracować. Miliony młodzieży na świecie opuszczają corocznie mury szkolne, aby wstąpić w mury fabryczne. Niestety, niema dla nich tam miejsca. Od dwóch lat niema prawie możliwości dla młodzieży uzyskania pracy, chyba że kosztem osób starszych wiekiem, które

się zwalnia. Wytwarza się konkurencja sił starszych i młodszych, której ofiarami są ludzie starsi wiekiem, obarczeni poważnymi obowiązkami rodzinnymi. Młodzież, pozbawiona tych obowiązków, konkuruje skutecznie ceną pracy. W licznych wypadkach spotykamy u nas zatrudnianie młodych wykwalifikowanych sił pracowniczych za cenę do 50 złotych miesięcznie lub nawet bezpłatnie.

Jak znoszą swą dolę bezrobotni, z czego żyją? — oto pytania, które cisną się na usta. Ciekawe materiały w tej dziedzinie zawierają pamiętniki samych bezrobotnych, wydane niedawno przez Instytut Gospodarstwa Społecznego. Jak mylny okazuje się pogląd niektórych osób, iż bezrobotni — to jednostki, które nie lubią pracować i które wykorzystują świadczenia wszelkiego rodzaju instytucji społecznych, aby bez żadnego wysiłku napęłnić swe żołądki. Wskazywano na analogję historyczną z dziejów imperjum rzymskiego, w którym miliony wydziedziczonych i bezdomnych domagały się tylko „panem et circenses”. Nic podobnego obecnie. Z ust wszystkich pamiętnikarzy wyrывa się okrzyk: dajcie nam pracy! Nie chcą opieki, nie chcą jałmużny, pragną pracować! Oddajmy im głos:

„...Nie chcę zapomogi ni wsparcia — dajcie mi pracy!”, lub: „...O kiedyż się skończą te nasze męczarnie? Kiedy wreszcie przestaniemy być nędzarzami, my wszyscy, którzy przecież mamy zdrowe i młode ręce do pracy, z której moglibyśmy żyć jak ludzie? O kiedyż znów zaryczą syreny fabryk, by oznajmić, że jest praca? Kiedy to nastąpi, kiedy... O błogosławiona praca, praca, praca!”

Tymczasem uzyskanie pracy, jak słusznie wspomina jeden z pamiętnikarzy, staje się coraz bardziej równoznaczne z wygraną głównego losu na loterji. Wygrywa jeden, przegrywają tysiące. Dola pozbawionego pracy nie jest do pozazdrosczenia. Specjalnie, jeżeli chodzi o robotników. Gdy robotnik ma pracę, cały jego zarobek ledwie starcza na pokrycie potrzeb żywnościowych. Przecież, jak wykazały badania, 60% zarobku robotnika idzie na pokrycie najkonieczniejszych tych potrzeb. Sumy wydatkowane na inne potrzeby, jak mieszkanie, odzież i t. p., są nikłe. Niema z czego robić zapasów, oszczędności. Przychodzi bezlitosna reduk-







Estonja, Finlandja, Szwajcaria, Węgry



Anglja, Belgja, Francja, Holandja, Jugosławja, Kanada, Szwecja, Zagłębie Saary

cja, tak jak określił ją jeden z bezrobotnych pamiętnikarzy: „Straszny polip redukcyjny chciwemi łapkami opasuje i wpija się mięszem swego osłizgłego cielska w najbardziej biedne jednostki, wysunięte prawie poza nawias życia ludzkiej egzystencji tych, którzy są podstawą życia całej rodziny. I ta pijawka redukcyjna do umęczonego ciała zmaganiem i walką życia wpija się, a w dusze zaszczerpia truciznę zwątpienia, braku celu i gasi wiarę w lepsze jutro...”

Cóż robić, z czego żyć? Zasilki dla tych, którzy byli ubezpieczeni, wypłacane są tylko przez 13 tygodni i to w wysokości niewystarczającej. A co dalej? Napięcie kryzysu stale wzrasta i wskutek tego znalezienie pracy najczęściej zawodzi. Następuje zadłużenie w sklepikach, wyprzedaż mizernych ruchomości za cenę, nieprzewyższającą 20% ich rzeczywistej wartości. A później, po wyprzedaży, przychodzi widmo głodu. Niektórzy szczęśliwsi, posiadający zamoż-

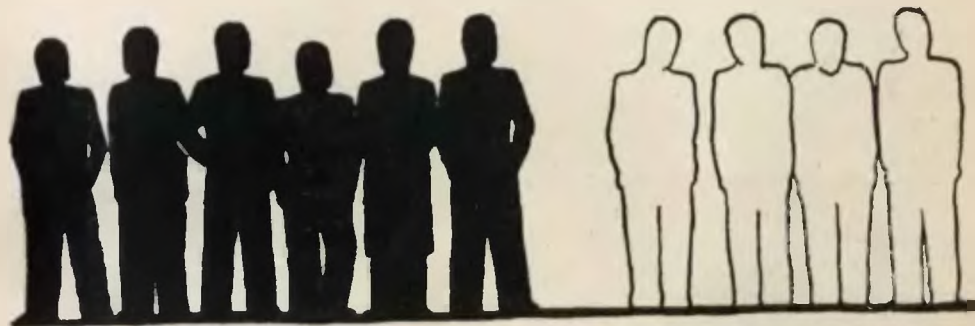
niejszą rodzinę, korzystają z nikłych wsparć tej rodziny. Inni korzystają z groszowej pomocy instytucji opieki społecznej. A reszta? Olbrzymia masa błądzi bez celu, szuka dorywczych zarobków, ima się drobnego handlu, wędruje po okolicy, kraju... Niektórzy muszą siedzieć w domu, w barakach lub w zatęchłych piwnicach, suterrenach i na poddaszach, bo nie mają w co się ubrać. Wszystko już wyprzedali, aby zaspokoić głód. A co się dzieje z tymi, którzy nie mają najmniejszego dachu nad głową, którzy spędzają noce na ławkach, w poczekalniach kolejowych, w załamaniach domów?...

Co się budzi w tych milionach serc ludzi głodnych, błakających się w poszukiwaniu pracy? Jeszcze raz oddajemy głos jednemu z tych milionów wydziedziczonych:

„...Ja nie mam żadnych iluzji, lecz czasem... marzę, że jestem w świecie przyszłości, w świecie, w którym nowy ustrój społeczny, bardziej ludzki — odnosi triumf, mając za



Australja, Austria, Czechosłowacja, Danja, Norwegja, Polska, Rumunja, Stany Zjednoczone, Włochy



Gdańsk, Irlandja, Niemcy

hasła: Równość, Wolność i Braterstwo! Ale czy moje marzenia ziszczą się kiedy? Czy będę jeszcze pracował przy budowie gmachu nowego ustroju społecznego, szczęśliwy ze szczęścia biednej, wiecznie wyzyskiwanej i okradanej masy proletariackiej... A ponad to wszystko, co człowiek przeżyje, wyrasta ból wielki, nieludzki człowieka pokrzywdzonego i wiecznie spragnionego i targa każdym fibrem człowieka nieszczęśliwego, wołając głosem milionów poniżonych i pokrzywdzonych o pomstę... A przecież jest gdzieś życie spokojniejsze, wolne chociażby od troski o codzienny chleb, a chociażby tam, za wystawami wielkich, świetlistych i bogatych kawiarni, restauracji, bogatych ciepłych salonów, gdzie chęć życia i użycia jest jedyną troską. Są ludzie, którzy śmiercią, kalectwem i wyzyskiem najbiedniejszych tłuczą swoje kałduny i zaspokajają wszelkie zachcianki. A może to tylko złudzenie?... Może i tam za jasno oświetlonemi wysta-

wami kawiarni i ciepłych pieleszy domowych błądzi ból i pustka życia i pyta każdego nieszczęśliwca tego ustroju społecznego, gdzie jest cel?...

Nie wszyscy mogą wytrwać na posterunku i utrzymać godność człowieka pracy. Część stacza się wdół, w bagno moralne zbrodni i prostytucji. Niektórzy wogóle rezygnują z dalszego życia. Kronika samobójstw pęcznieje.

A wpływ bezrobocia na życie rodzinne? Dziennikarz niemiecki, A. E. Johann, opowiada, iż w Stanach Zjednoczonych A. P. milion mężów opuściło rodziny, zostawiając je na pastwę losu, aby rozpocząć wędrówkę za pracą. Wagony towarowe oblepione są bezrobotnymi, którzy przenoszą się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu tak upragnionej pracy.

A u nas? Prof. Ludwik Krzywicki we wstępie do omawianych pamiętników mówi: „...Wśród ciężkich doświadczeń nawet po-

życie rodzinne ulega rozprzężeniu: mąż opuszcza żonę i przemierza nieraz kraj cały, czy nie znajdzie zarobku. Żona przyjmuje miejsce stałej posługi lub wraca do swoich rodziców. Małżonkowie marzą o wznowieniu wspólnego pożycia, gdy nastaną lepsze czasy. Niekiedy żona zniecierpliwiona niedołęstwem męża, „który nie umie znaleźć pracy”, porzuca go i żyje z mężczyzną, który ma zarobek. To rozejście się małżeństwa, chwilowe lub stałe, jest ostatniem ogniwem długiego pasma swarów i kłótni. Nędza materialna, zanik więzi uczuciowych, niekiedy kompletne piekło...”

A jaka jest dola ludzi, którzy całe życie przetrwali na posterunku pracy? Niech ją oświecili pamiętnik syna jednego z tych „szczęśliwców”: „...Ma lat 67, niejedno widział, niejedno przeżył, przeważnie ciężko pracował, ale takiej starości, że tak marną będzie się nie spodziewał. Zamiast ciepłego pieca, fajeczki, ciepłych pantofli, książki z dużymi literami, czasem podreptać do kościółka — zamiast tego musi harować jak czarny wół, jak wtedy, kiedy miał 20 lat. Jak dziwnie czasy się zmieniają. Pamięta złe czasy, bardzo złe, ale takich jak teraz nie było. Dziwne czasy!”

Należałoby jeszcze wspomnieć o dzieciach bezrobotnych, dzieciach ludzi, którzy sami nie mają co do ust włożyć, a którzy ostatni kawałek chleba, ostatnią łyżkę strawy od-

dają tym mizernym istotkom, ofiarom nieubłaganych a jakże niesprawiedliwych praw gospodarczych. Dzieci te karłowacieją, gdyż organizm ich, pozbawiony racjonalnego odżywiania, nie może się normalnie rozwijać. Olbrzymie masy dzieci giną. Pozostałe będą tylko kamieniem ciężarnym dla przyszłych pokoleń, gdyż ich nierozwinięte organizmy nie podolają twardym warunkom nowoczesnego życia człowieka pracy.

Liczy bezrobotnych w milionach:

Stany Zjednoczone	12,0
Niemcy	5,5
Anglia	2,5
Włochy	1,6
Francja	1,4
Czechosłowacja	1,0
Australia	0,5
Kanada	0,5
Polska	0,5
Belgia	0,4
Austria	0,3
Rumunia	0,3
Holandja	0,3
Dania	0,2
Szwecja	0,2
Irlandja	0,1
Norwegja	0,1
Jugosławia	0,1
Węgry	0,1

napisał JAN DERENGOWSKI

W biurze

I wszędzie, gdzie zbiera się wiele osób, istnieje niebezpieczeństwo zarażenia się przez wdychanie rozlewanych podczas kaszlu lub kichania zarasków. Chrońcie się zatem przed gryppą, zapaleniem gardła i przeziębieniem zapomocą

pastylek

Panflavin



Do nabycia we wszystkich aptekach.

Kobieta i Zwierciadło

*Kobieta lubi przeglądać się w lustrze. —
Prababka Ewa i greckie dziewczęta. —
Zwierciadła z polerowanego srebra. —
Historja załamuje ręce nad lustrem. —
Auto-da-fé.*

Kobieta lubi przeglądać się w lustrze, w wodzie i w oczach zachwyconych nią mężczyzn. Tem się może tłumaczy ta wielka ilość luster, wypełniających nasze mieszkania, zdobiących salony, sypialnie, łazienki i przedpokoje; dekorujących sale balowe, przedsionki teatralne i sklepy, wagony i samochody... Wreszcie lśniąca tysiącami minjatur w torebkach damskich, neseserach i puderniczkach.

Kobieta lubi widzieć swe odbicie... I dlatego do najszczęśliwszych kobiet zaliczyć można artystki filmowe, które widzą tysiące swych fotografii i filmów. Dlatego najpopularniejszymi (nie najlepszymi) malarzami byli portreciści pięknych kobiet, jak Watteau, De Largillière (Francja), Gainsborough (Anglia), Bacciarelli (Polska). Dlatego też, pomimo kryzysu, dobrze się dzieje ulicznym fotografom...

Kobieta lubi widzieć swe odbicie. Prababka Ewa przyglądała się z rozkoszą swej rajskiej urodzie w ruchomej tafli Eufratu i Tygru. Greckie dziewczęta przechylały się wdzięcznym ruchem, nalewając wodę do amfor, aby ujrzeć w głębinie studni odbicie swej kształtnej postaci. Kobiety starożytnego wschodu chciały widzieć swą piękność... Więc Egipcjanie i Grecy polerowali srebrne zwierciadła i oprawiali je w piękną ramę, wyobrażając mistyczny kwiat lotosu, lub giętką szyję ibisa. Takie ręczne zwierciadła znajdujemy w starych sarkofagach, widzimy na wazie greckiej w rękach pięknej Heleny,





ktorej służebnice wkładają wieniec na głowę i zawiązują sandały.

Tysiące lat upłynęło od tej epoki, a jednak niewiele zmian zaszło w psychice kobiecej. Jak ongi piękna Helena, tak później Małgorzata Goethego, czy teraz współczesna piękność stroi się w sztuczne, czy prawdziwe klejnoty, by móc ujrzeć się piękną dla... jakowegoś Parysa, Fausta, czy współczesnego mężczyzny. Amor więc unosi się nad zwierciadłem wazy greckiej i stroi je w kwiaty poezji.

Tysiące lat upłynęło od tej epoki, a jednak niewiele zmian zaszło w psychice kobiecej. Pomimo, że lustra zmieniły się czasem — kobieta została tą samą, przeglądając się w lustrach weneckich, owalnych ramach empire'u, bogatych baroku i prostych lustrach XX-go wieku... Zawsze lustro budziło w niej te same wady: pychę, zazdrość, próżność, kokieterję i chęć... strojenia się. Dlatego historia załamuje ręce nad zwierciadłem i w nim szuka przyczyn wojny trojańskiej, tragedji błędnych rycerzy i wielu innych nieszczęść...



Zwierciadło powoduje wiele zła i dlatego może Mefisto wraz z klejnotami przesyła Małgorzacie... lusterko (przed którym Gounod wyśpiewa jedną z najpiękniejszych swych aryj).

Współczesna kobieta nie może sobie nawet wyobrazić życia bez lustra! Jeżeli w wyjątkowym wypadku znajduje się w tragicznej sytuacji i lusterka nie posiada — stara się go sobie zastąpić czemś innym. Jeżeli jest uczennicą — podkłada pod szybę otwartego okna czarny, pensjonarski fartuszek. Jeżeli jest służącą — czyści ze specjalnem stara-

niem rondle nikłowe, lub miedziane. Jeżeli jest pięknością z Grajdółka, wyciąga z kufelka od śmieci — obtłuczone lustro.

Kobieta współczesna nie może sobie nawet wyobrazić życia bez lustra. Dlatego może Aleksander Kanold i Villy Baumeister malują współczesną piękność przed lustrem oprawne w ramy geometrycznie prostego sześciokąta, czy równoległoboku. Dlatego też współczesna reklama ukazuje nam Marysię Malicką, jak szcztokuje przed lustrem włosy i Anitę Page, jak pudruje nos rekłomowym pudrem.

*

Mężczyźni naogół luster nie lubią. Z chęcią nieraz potłukliby wszystkie w mieszka-

niu swoich żon, sióstr i córek, lub chcieliby je wykrzywić karykaturalnie, jak to ma miejsce w paryskim „Luna-parku”, czy wiedeńskim „Praterze”...

Takie lustrzane auto-da-fe nie prowadziłyby jednak do celu... Zrozpaczone kobiety przeglądałyby się z początku w mokrych chodnikach ulicznych (w dni dżdżyste) i szukałyby swego cienia (w dni słoneczne). Wreszcie wstąpiłyby do klasztoru, lub popełniły samobójstwo...

Więc nie radzę... Tem bardziej, że panowie stworzenia nie mieliby przed czym się golić, ani... wiązać krawatów!...



TLENOL-RA

Radioaktywny krem, eliksir, proszek do czyszczenia zębów i pielęgnowania ust w/g D-ra Med. Napoleona Cybulskiego prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nadaje zębom zdrowie i olśniewającą biel — dziąsłom odporność i jędrny wygląd.

NARTY, ŁYŻWY, OBUWIE

i UBRANIE DO SPORTÓW ZIMOWYCH

W NAJWIĘKSZYM WYBORZE POLECA

C. GRABOWSKI

SZPITALNA 7, TEL. 246-47



Inż. Z. Chełmoński

Od ziemi do krańców wszechświata

Od zamierzchłych czasów, przed tysiącami lat, od powstania rozumnej myśli ludzkiej — człowiek starał się wyjaśnić sobie, zrozumieć i pojąć otaczający go wszechświat, którego cząstkę stanowił sam, a zarazem wyobrazić sobie jego ustrój i wielkość.

Od koncepcji ziemi w kształcie odwróconej misy, wspierającej się na grzbietach czterech stoni, stojących na wielkim żółwiu, pływającym w morzu; później poprzez wiarę w nadprzyrodzoną moc planet, mogących wpływać i kierować losami ludzi, a nawet świata, wiarę w straszliwy charakter komet, będących, zwłaszcza „ogony” ich czyli warokcze, widomemi i niechybnymi znakami gniewu Bożego — pojęcie o ustroju wszechświata z biegiem wieków rozszerzało się i zbliżało coraz więcej ku prawdzie.

Jednakże, przy takim rozszerzaniu horyzontów, przy rozsuwaniu się coraz dalej granic świata, odpowiadających ówczesnym umysłom i wiedzy, pojęcie o nim nie przekraczało niemal wcale granic tej małej, drobnej, nieznaczącej cząsteczki jego, jaką stanowi t. zw. nasz Układ Słoneczny, t. j. słońce z dziewięciu planetami, krążącymi dokoła niego.

Świat gwiazd i one same stanowiły świat nieznan, nierozumiany. Wielkie i małe, o świetnym blasku lub zaledwie widoczne, ułożone na niebie w przedziwne figury, pociągały zawsze oczy ku sobie, pociągały jednocześnie i umysły, starające się odgadnąć ich naturę i charakter.

Najwięcej jednak tajemniczą i niepojętą była — to biała, to błyszcząca wyraziście na czarnej kopule nieba, szeroka wstęga, prze-



Mgławica ciemna w gwiazdozbiornie Orjona

pasująca niebo jakby olbrzymim pasem. Posłuszni dążeniu ujmowania wszystkiego według pojęć ziemskich, ludzie wstęde tej nadal nazwę Drogi Mlecznej.

Dzisiejsza jednak astronomja ukazuje, jak mało podobieństwa ma ona z tem pojęciem. Nasze drogi są wykładane szarym kamieniem, ona zaś — wysadzana najświetniejszemi brylantami gwiazd; nasze drogi mierzymy prętem, miarką, ją — promieniami słońca. Drogi nasze możemy dojść zawsze do jakiegoś końca, kresu, granicy — Droga Mleczna prowadzi nas tam, gdzie niema końca, niema granic.

I ten świat gwiazd, najbliższych, dostrzegalnych łatwo okiem nieuzbrojonym, aż do ponad pojęcie dalekich, tworzy właśnie cały ogrom wszechświata, w którym nietylko ziemia, lecz cały układ słoneczny stanowi drohniutką zaledwie cząsteczkę.

Ten świat postaramy się poznać i z niego utworzyć sobie istotne pojęcie o ustroju i rozmiarach wszechświata.

Gwiazdy stanowią jeden z dwóch zasadniczych rodzajów ciał niebieskich. Są one olbrzymiemi kulami rozpalonych gazów,



Mgławica „pierscieniowa” w gwiazdozbiornie
Lutni

a więc wydzielają ciepło i świecą same własnym światłem. Temi cechami różnią się właśnie od rodzaju drugiego — planet, ciał ostyglych, martwych, nie będących już źródłem ciepła i świecących jedynie blaskiem pożyczonym — odbitemi od siebie promieniami słońca.

Widzimy gwiazdy ułożone na niebie nieraz w najrozmaitsze rysunki, konfiguracje. Te rysunki trwają i były widziane od wieków. Stąd też wówczas już nazywano je „stałymi”, w odróżnieniu od planet, zwanych wówczas gwiazdami ruchomymi, ponieważ przesuwały się one między gwiazdami, nie zmieniającymi swych miejsc.

Jednak nieruchomość gwiazd była złudzeniem jedynie. We wszechświecie, gdzie wszystko oparte jest i utrzymuje się na nigdy nieustającym ruchu i sile grawitacyjnej, powodującej ruch, żadne ciało nie może sekundy pozostać bez ruchu. Każda gwiazda posiada swój własny ruch postępowy, nie mówiąc o innych; a więc i te konfiguracje, rysunki zmieniają się bezustannie.

Dlaczegoż jednak w ciągu wieków nie widzimy tych zmian? Przyczyną tego są niesłychane odległości gwiazd od nas. Dzięki temu nawet ogromne drogi przebieżone przez gwiazdę, lecz w takich niezmiernych odległościach, pozostają przez nas niezauważone. Zmiana położenia gwiazdy na niebie, różnica konfiguracji może ujawnić się jedynie po dziesiątkach tysięcy lat biegu gwiazdy po swej drodze. Taką zmianę całkowitą wyglądu konstelacji ukazuje wyraźnie rysunek 1, str. 78, przedstawiający widok Wielkiej

Niedźwiedzicy, inaczej Wielkiego Wozu, z przed i po 50.000 lat.

Następną cechą gwiazd jest ich wielkość. Słońce, będące, jako źródło światła i ciepła, gwiazdą, jest 1.300.000 razy większe od ziemi; w niezliczonej jednak rzeszy gwiazd należy ono do... karłów. Np. gwiazda Arktur z gwiazdozbioru Wolarza jest 20.000 razy większa od słońca (a więc około 30 biljonów razy od ziemi); jedna z gwiazd wspaniałego gwiazdozbioru Orjona — Rigel — jest większa od słońca 30.000 razy; inna gwiazda tejże konstelacji — Betelgeuze — 27 milionów razy przewyższa wielkością słońce; Antares z gwiazdozbioru Niedźwiadka — 91 milionów razy i t. d. Gdybyśmy pośrodku gwiazdy Betelgeuze umieścili słońce, to nie tylko zmieściłoby się ono całe, lecz z niem jeszcze planeta Merkury ze swą orbitą (śr. odległ. od ziemi 90 milj. km), dalej Wenus, Ziemia i planeta Mars, odległa od słońca ok. 225 milionów kilometrów.

Tak wielkie są te świecące na niebie punkciki, pozostające zawsze tylko punkcikami w najsilniejszej nawet lunecie. Wygląd taki zaś powoduje ta niesłychana odległość, jaka dzieli je od ziemi.

Ziemska jednostka miary, kilometr, nie ma w astronomji oczywiście żadnego zastosowania, jako za mała. Astronomja potrzebuje miar większych i ma ich kilka. Podaje jedną z nich, nie najmniejszą, którą będziemy się posługiwali przy rozpatrywaniu wszechświata. Zowie się ona w astronomji „rokiem światła”. Światło przebiega w ciągu jednej sekundy odległość 300.000 km. Obliczywszy ilość sekund w roku i przemnożywszy cyfrę tę przez 300.000, otrzymamy przestrzeń, jaką przebieży przez rok promień światła. W kilometrach daje ona cyfrę 9.400.000.000.000 km. Jest to właśnie „rok światła” — jedna z miar do mierzenia odległości astronomicznych.

Przejdziemy teraz do odległości gwiazd. Najbliższą jest gwiazda zwana Proxima. Leży ona od Ziemi w odległości 3,6 lat światła, t. j. 30.000.000.000.000 km. Zrozumienie tej cyfry i odległości początku niejako świata gwiazd da nam takie porównanie, wykonane przez nas w pewnej skali. Mianowicie postawiwszy w jakimś miejscu punkt, który będzie oznaczał Ziemię, przyjmujemy odległość Księżyca od Ziemi (400.000

km) za 1 centymetr. Drugi więc punkt, postawiony przez nas o 1 cm od pierwszego, będzie oznaczał księżyc. By w tej samej linii umieścić słońce, trzeci punkt postawimy (w tej samej skali) w odległości 4 metrów od pierwszego (odl. ziemi od słońca — okragło — 150 000 000 km). Planeta Pluton — kres znanego dzisiaj naszego układu słonecznego, oddległy od Ziemi o 6 miliardów 115 milionów km średnio, wypadnie, jako czwarty punkt, o 150 metrów od pierwszego. I wreszcie spróbujemy postawić punkt piąty, oznaczający najbliższą gwiazdę, wzmiankowaną Proximę. Przy wciąż tej samej skali musielibyśmy umieścić go o... 750 kilometrów od pierwszego; t. j. na mapie wypadłby mniej więcej w Stockholmie! Tak niesłychanie daleki jest nawet sam początek świata gwiazd.

Będąc kulami rozpalonych gazów, gwiazdy mają niezmiernie wysoką temperaturę. Najchłodniejsze posiadają na swej powierzchni temperaturę około 3300° C. ponad zero; nasze słońce — na powierzchni ok. 6000° C., we wnętrzu zaś — do 60 000 000 stopni. Astronom i fizyk J. H. Jeans tak uzmysławia ten niesłychany żar: „gdyby cząsteczkę materji, wielkości ziarenka grochu, nagrzać do tej temperatury, to każde ciało organiczne zostałoby spalone i spopielone już w odległości 2000 km od tego ziarenka”. A są inne gwiazdy, których żar przewyższa żar słońca: temperatura wnętrza gwiazdy Plasketta wynosi ok. 500 000 000 stopni.

Jak wielkie znaczenie dla wszechświata i warunków rozwoju w nim życia organicznego mają temperatury gwiazd, wskazuje nam następujący przykład. Gdyby zamiast naszego słońca stanęła gwiazda, zwana w katalogu gwiazd Wolf 359, najśłabsza, bo promieniująca 50 000 razy słabiej od słońca, to ziemia cała zamieniłaby się momentalnie w lód, atmosfera przeszłaby w stan płynny i oczywiście życie w tej chwili zamarłoby. I odwrotnie — gdyby miejsce słońca zajęła najsilniej — 300 000 razy silniej od niego promieniująca — jedna z gwiazd konstelacji Dorado, to od razu temperatura podniosłaby się do 7000° C. ponad zero i wszystko w tej chwili zamieniłoby się w parę.

Otoczające ziemię i widziane przez nas gwiazdy nie są, jakby można sądzić, bez-

ładnem zbiorowiskiem. Wszystkie one razem tworzą jakby sferę, pośrodku której znajduje się słońce razem z ziemią. Sfera ta ma pewien mniej lub więcej określony kształt, podobny — jak to ustalił ostatecznie holenderski astronom Kaptajn — do soczewki, lub mówiąc matematycznie — do elipsoidy obrotowej, t. j. ciała wytworzonego przez obrót elipsy dokoła swej większej osi. Oś mniejsza tej elipsoidy jest 5 razy krótsza od osi większej.

W tem ciele, o postaci jakiegos ołbrzymiego wrzeciona, znajdują się wszystkie gwiazdy, skupione bliżej ku jego środkowi i tworzą jeden t. zw. układ fizyczny, t. j. wszystkie są związane jedną siłą centralną i nią kierowane w swych ruchach i położeniu.

Cały ten układ nosi w astronomji nazwę Małej Galaktyki (od greckiego słowa „gallo” — mleko); i nasza Droga Mleczna w nim się znajduje. Kształt i wielkość tego układu, czyli Małej Galaktyki, dał się określić z wymierzonych odległości gwiazd, wchodzących w jego skład.

Tu powstaje siłą rzeczy niezmiernie ciekawe pytanie, w jaki sposób mierzą się odległości ciał niebieskich. Rozmiary niniejsze szkicu nie pozwalają jednak na objaśnienie szcze-

Mgławica „wrzecionowa” w gwiazdozbiórze Warkocz Bereniki



głowie. Ograniczam się więc jedynie do wzmianki, iż sposobów istnieje kilka: trygonometryczny, metodą spektroskopową, metodą obserwacji gwiazd t. zw. zmiennych — jedno mniej, inne więcej dokładne, lecz razem dające całkowicie pewne i ściśle dane.

Z tych właśnie cyfr odległości gwiazd został zbudowany wzmiankowany wyżej kształt Małej Galaktyki oraz obliczone jej rozmiary. Najdalsze gwiazdy w niej, a więc kresy tej pierwszej sfery gwiazd otaczającej ziemię, leżą od ziemi o 20—30 tysięcy lat światła, tj. średnica Małej Galaktyki wynosi przeszło 40.000 lat światła (380.000.000.000.000 000 km).

Jak wzmiankowałem wyżej żadna z gwiazd nie pozostaje w spokoju, lecz jest w ciągłym ruchu — biegnie w przestrzeń. Badania ruchów gwiazd w Małej Galaktyce wykazały, że wszystkie gwiazdy w niej przesuwają się po drogach kształtu eliptycznego i że jedno z ognisk elipsy Galaktyki jest wspólnym ogniskiem dla wszystkich elips — dróg gwiazd. A więc są one związane razem fizycznie, czyli tworzą jeden układ fizyczny.

Słońce, jako jedna z gwiazd, podlega też

Skupienie kuliste gwiazd w gwiazdozbiórze Herkulesa



tym prawom: biega po swej własnej elipsie z szybkością 275 km na sekundę. Przy patrzeniu z ziemi, porusza się ono w kierunku gwiazdozbioru Cefeusza i cały jeden pełny obieg drogi wykonywa w ciągu 200 milionów lat.

Tak wielki ocean przestrzenny posiada, podobnie, jak nasze ziemskie oceany, prądy w swym łonie; mianowicie prądy gwiazd. Prócz indywidualnych ruchów gwiazdy tworzą rzeki gwiazd — prądy, które płyną wewnątrz Galaktyki. Jedne z najciekawszych są dwa wielkie przeciwne sobie prądy gwiazd wewnątrz Galaktyki. Nie są one jednak oddzielone od siebie przestrzennie; lecz przenikają się nawzajem, przechodzą przez siebie i miliony gwiazd mijają się w porządku, harmonijnie, aczkolwiek biegną w przeciwne strony. I wreszcie Mała Galaktyka, jako całość, wykonywa ruch wirowy koło swej centralnej części i obiega ją całą dokoła w ciągu ok. 500 milionów lat.

Taki jest wygląd, obszar i natura układu gwiazdnego Małej Galaktyki. Wyżej zaznaczyliśmy, iż t. zw. Droga Mleczna znajduje się w niej. Czemże więc jest ona w istocie? Zobaczmy z następującego objaśnienia. Jeżeli staniemy naprzeciwko długiego boku szerokiego pasa niezbyt gęstego lasu, to będziemy widzieli pojedyncze drzewa, stojące od siebie w większym lub mniejszym oddaleniu. Gdy jednak spojrzymy na ten sam pas lasu wzdłuż niego, stojąc naprzeciw poprzecznego krótszego boku pasa, to wszystkie drzewa zleją się w gęstwą nieprzeniknioną dla naszego wzroku, tworząc jedną ścianę z drzew. Słońce z ziemią znajduje się w środku wrzeciona, czy soczewki, którego kształt ma Mała Galaktyka. Jeżeli więc będziemy patrzyli w kierunku krótszych osi, to będziemy widzieli gwiazdy pojedyncze; patrząc zaś w kierunku osi dłuższej — ujrzymy gęstwą gwiazd i w tych miejscach niebo gwiazdne wyda się smugą czy też plamą wskutek skupienia gwiazd.

Tak więc Droga Mleczna nie jest jakimś samoistnym tworem niebieskim, lecz jedynie efektem, obrazem optycznym, wynikiem ze skupienia gwiazd w kierunku patrzenia.

Właściwością gwiazd Małej Galaktyki — a jak się przekonamy i innych układów gwiazdnych — jest dążenie do „nie chodzenia samopas”, lecz gromadnie, zbiorowiskami

w postaci skupień, gromad a nawet chmur gwiazdnych.

Prócz gwiazd, wewnątrz Galaktyki znajdują się jeszcze inne twory niebieskie, widoczne w lunetach jako jasne, białe, świecące słabo mgiełki. Są to t. zw. mgławice — masy niesłychanie rozrzedzonych gazów. Dzielą się one na trzy rodzaje: na mgławice gazowe, jak np. wspaniała w gwiazdozbiorze Orjona, odległa o 590 lat światła, wielka na 10 lat św. w średnicy; mgławice t. zw. planetarne; niektóre z nich mają kształt pierścienia, jak np. piękna „mgławica pierścieniowa” w gwiazdozbiorze Lutni. I wreszcie mgławice ciemne — ciemne masy gazów, świecące zaledwie po brzegach od światła gwiazd, znajdujących się poza nimi.

Te mgławice, aczkolwiek wielkie, są niesłychanie rzadkie: gęstość ich materji przeciętnie stanowi jedną miljonową część jednej biljonowej części gęstości naszego powietrza. Gdyby taką rzadką masą nappełnić kulę o średnicy odległości planety Neptuna od słońca, tj. ok. $4\frac{1}{4}$ miljarda kilometra, to cała masa w objętości tej kuli stanowiłaby zaledwie $\frac{1}{10}$ masy ziemi.

Nieustanne badania nieba wykrywały wciąż nowe twory, przeważnie w postaci gromad gwiazd, lecz już niepomniernie dalej odbiegłych nie tylko od ziemi, lecz i od Małej Galaktyki. Gromady te miały bądź kształty nieprawidłowe, bądź też niezwykle piękne, prawidłowe — okrągłe, w formie kuli; przytem, w przeciwieństwie do Małej Galaktyki zawierającej przeważnie drobne (pozornie) gwiazdy, posiadają wiele gwiazd świetnych, jasnych, przewyższających niepomniernie nasze słońce, jak np. jedna z gwiazd, wydzielająca 500.000 razy więcej blasku od słońca. Skupień tych są setki. Jedna ze wspanialszych — t. zw. Wielki Obłok Magellana ma średnicę 14.000 lat światła a leży na niezmierniej odległości 112.000 lat świetlnych.

Niezmiernie piękne są skupienia t. zw. kuliste. Jedno z nich w postaci prawie całkowicie prawidłowej kuli, leży w gwiazdozbiorze Herkulesa w odległości 36.000 lat światła, zawiera w sobie około miliona gwiazd.

Te twory, jak zbadano, tworzą nową drugą sferą gwiazd otaczającą nas i razem z Małą Galaktyką stanowią drugi układ gwiazdny, t. zw.



Mgławica gazowa w gwiazdozbiorze Orjona

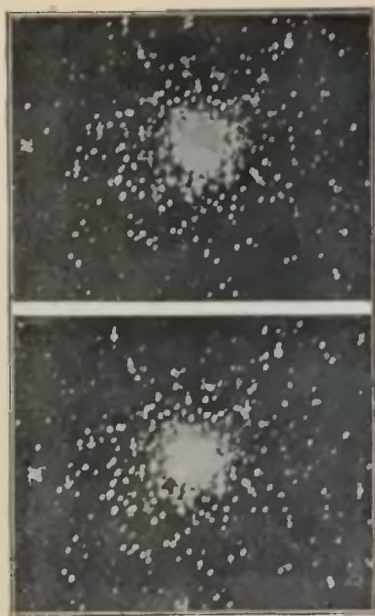
Wielką Galaktykę. Słusznie nazwana jest wielką, gdyż kresy jej rozciągają się, licząc od środka, na ok. 120.000 lat światła w obie strony, co wyraziłoby cyfrą 2.300.000.000.000.000 km.

Gdybyśmy chcieli wyobrazić Wielką Galaktykę na ekranie, to musielibyśmy postawić na nim około 47 miliardów punktów, oznaczających gwiazdy, lecz każdy punkt musiałby leżeć o 100 kilometrów od drugiego.

Zawrotna cyfra 240.000 lat światła — obszaru drugiej sfery gwiazdnej, Wielkiej Galaktyki — daleka jednak jest wciąż jeszcze od tych krańców wszechświata, do których dociera nie tylko umysł, lecz wzrok człowieka, wspomagany przez potężne instrumenty, wymyślone przez jego genjusz.

Człowiek przebił wzrokiem olbrzymie ciało Wielkiej Galaktyki... i poszedł dalej, podpatrując tajemnice przyrody. I tu w tych bezkresach napotkał nowe, nieznane twory niebieskie, jakich w swem „najbliższym” sąsiedztwie dotąd nie spotykał. Ogniste wirujące twory, kręcące się, jak „młynki” fajerwerkowe, spiralnie owijającymi je ognistymi i błyszczącymi smugami.

Te twory niebieskie, niezmiernie trudno poddające się badaniom astronomów, miały dotąd trzy cechy: wydawały się nad pojęcie dalekie, niesłychanie wielkie i — nie można było ustalić ich natury. Początkowo więc sądzono, iż są to chmury pyłu kosmicznego.



Skupienia gwiazd

wyrzuconego w przestrzeń ciśnieniem światła, lub wirujące masy gazowe — ta pra-materia, z której przez miliony milionów lat tworzą się światy.

Dopiero w stosunkowo niedawnych czasach potężne instrumenty astronomiczne zrobiły swoje — dotarły do wnętrza tych tworów, wykryły ich istotną naturę i... rozbiły je na te składniki, z jakich są zbudowane, ukazując, że są one, podobnie jak inne, zbiorowiskami, konglomeratami... gwiazd.

Dalsze ujawnianie tajemnic poszło już szybko. Zbadano, iż unoszą się one w zawrotnych wprost odległościach od nas, że i między sobą odgradzają się przestrzenią zwykle około miliona lat świetlnych i że są same oddzielnymi wszechświatami, układami gwiazdnymi, podobnymi do naszych Galaktyk, lecz niepomniernie większymi od nich.

W astronomii noszą one nazwę mgławic spiralnych, pozagalaktycznych; a że są samodzielnymi układami gwiazdnymi — nazywane są supergalaktykami.

O ogromie niektórych z nich może świadczyć ciekawy fakt, iż gdy jedną z nich, w t. zw. Wielkiej Niedźwiedzicy — (tj. w kierunku patrzenia na tę konstelację) najbli-

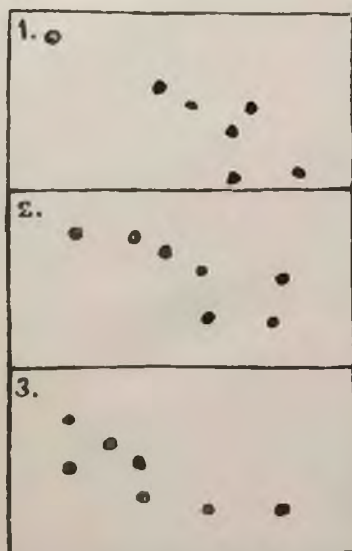
szą, leżącą od ziemi w odległości ok. 850.000 lat światła, dostrzegamy przez lunetę, to inną, t. zw. Wielką Mgławicę Andromedy, oddaloną o blisko 900.000 lat światła, dostrzegamy zupełnie swobodnie gołym okiem, jako świecący obłoczek na niebie. A że, jak obecnie wiadomo, średnica jej wynosi około 46.000 lat światła, więc jest tak wielka jak całe nasze galaktyki.

Największe teleskopy wykrywają około dwóch milionów tych mgławic; a ponieważ składają się one z gwiazd, to rachunkiem prawdopodobieństwa można było dojść do przypuszczalnej ilości wszystkich wogóle gwiazd we wszechświecie, dostępnym dla człowieka; ilość ich wyraża się cyfrą 2.000.000.000.000.000.000.000.000.

Wspomniany wyżej astronom, Jeans, tak uzmysławia tę niemal nieczytelną cyfrę — ilość wszystkich gwiazd: gdyby całą Anglię (powierzchnia 245.000 kilometrów kw. równa mniej więcej $\frac{2}{3}$ powierzchni Polski) przysypać piaskiem, w którym każde ziarnko byłoby gwiazdą, to piasku tego utworzyłaby się warstwa na setki metrów wysoka.

Tą samą drogą, co ilość gwiazd, obliczone rozmiary wszechświata, okazują się tysiąc milionów razy większe od tej przestrzeni, którą ogarniają największe teleskopy.

Największe odległości, do jakich docie-



Widok Wielkiej Niedźwiedzicy:

1) przed 50.000 lat, (2) obecny, (3) po 50.000 lat



Wielka mgławica w gwiazdo-
zbiorze Andromedy



Mgławica spiralna w gwia-
zdozbiorze Psów Gończych

ra wzrok ludzki, najodleglejsze ciała niebieskie, dostrzegalne jeszcze przez lunety, leżą tak daleko, że światło dociera od nich do nas w ciągu 140.000.000 lat; tj. oddalenie ich wyraża się cyfrą 1.300.000.000.000.000.000 km. Na okrążenie więc takiej kuli, tego wszechświata, który możemy ogarnąć ludzkiemi zmysłami, promień światła (biegnąc z szybkością 300.000 km. na sekundę), obiegając glob ziemi w ciągu $\frac{1}{7}$ sekundy, musiałby zużyć na to 500.000.000 lat.

To są kresy, granice wszechświata, dostępne zmysłom człowieka. Ostatnie badania jednak wykazały, że i ci strażnicy tych kresów — wszechświaty - wyspy, nie „chcą żyć z nami”, lecz wciąż, bezustannie uciekają

od nas, rozbiegają się w przestrzeń, niektóre z zawrotną szybkością. Mgławica Andromedy odsuwa się, przebiegając 300 km na sekundę, inne zaś oddalają się jeszcze śpieszniej — po kilkanaście tysięcy, a jak np. mgławica w gwiazdozbiorze Lwa — z szybkością nawet prawie 20.000 km. na sekundę. A więc i ten wszechświat jeszcze bezustannie się rozszerza.

OD REDAKCJI:

Artykuł niniejszy stanowi streszczenie odczytu p. t. „Droga Mleczna i rozmiary Wszechświata”, wygłoszonego w grudniu r. b. w cyklu odczytów popularnych Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Astronomii przez prezesa oddziału warszawskiego tegoż Towarzystwa, inż. Z. Chelmońskiego.

GWIAZDKA

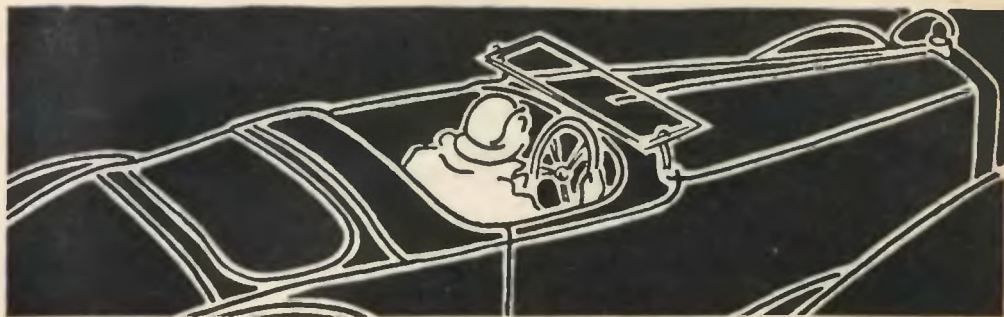
Ileż miłych wspomnień przychodzi na myśl starszemu pokoleniu o tych czasach, kiedyśmy dostawali jakiś upominek świąteczny! Czy zatem nie powinniśmy się teraz zrewanżować i zrobić przyjemność naszym dzieciom — aby utrzymać tę starą, polską tradycję i dać choć małą gwiazdkę w tych ciężkich obecnie czasach. Każdy zaraz spyta — co dać i gdzie kupić? — Odpowiedź nasuwa się sama przez się. Przecież to ma być gwiazdka — więc „ad Astra”... Proszę zająć do składu materiałów piśmiennych. Nowy Świat 1, a tam wszelkie upominki się znajdą tak dla młodzieży jak i dla starszych.

DOBRE FARBOWANIE SIWYCH WŁOSÓW

może być tylko bez przyciemniania naturalnego koloru. Własny niezrównany system posiadają

SALONY FRYZJERSKIE
WIKTOR PIASECKI i S-ka
Warszawa, Nowy Świat 28. Tel. 223-23.

WIECZNA ONDULACJA aparatami świat. sławy „Eugène” i „Realistic.”



Panie Marja, Zofja i Janina wybrały się własnymi autami do Warszawy po zakupy tego samego dnia, co i ich trzech mężowie, panowie Ptaszek, Rybka i Zajacek. Pani Marja (którą właśnie widzimy na rysunku) zrobiła 10 kilometrów, pani Zofja 20, pani Janina 30. Pan Ptaszek zrobił tyleż kilometrów co jego żona, pan Rybka dwa razy więcej od żony, pan Zajacek trzy razy więcej. Pani Marja posprzeczała się w drodze z żoną pana Rybki; pani Zofja nie pozwala swemu mężowi widywać się z panem Ptaszkciem,

uważa go bowiem za hulakę. Pan Rybka jest pod pantoflem swej małżonki i dlatego po powrocie do domu ucieszył się bardzo, że nie zużył więcej benzyny od swego przyjaciela Zajaczka. Dnia tego wszyscy oni kupili dla oszczędności hurtownie benzyny na 250 km. Wieczorem, gdy przystąpili do płacenia za swe części, okazało się, że pozostała benzyna da się podzielić pomiędzy trzy rodziny w równych ilościach podzielnych przez dziesięć.

Jak nazywały się panie Marja, Zofja i Janina?

POMYSŁOWY MALARZ




Ponieważ okno o wymiarach 3×3 m. dało za dużo światła, więc artysta zasłonił je częściowo w ten sposób, że uzyskał otwór świetlny o wysokości 3 m. i szerokości 3 m. lecz o dwa razy mniejszej powierzchni. W jaki sposób dało się to zrobić?

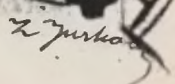
PARA BUTÓW



Pewien pan, przyglądając się obuwu w oknie wystawowym sklepu zauważył, że para butów ze sznurowadłami kosztuje 25 zł., a same buty kosztują o 24 złote więcej od sznurowadeł. Ile kosztują buty a ile sznurowadła?



Małżonek Łaskawej Pani



Łaskawa Pani jest prawdziwą damą światową. Roczny jej dochód wynosi czterdzieści tysięcy funtów, poza tem jest właścicielką kamienicy na Mayfair, niewielkiej posiadłości w Szkocji, dwóch aut, czterech koni wyścigowych, ma przytem własnego grooma i małżonka. W salonach Łaskawej Pani, wśród wyfraczonych gości, zauważyć zawsze można kręcącego się małego, korpułentnego jegomości w niezbyt dobrze skrojonym smokingu.

Łaskawa Pani zazwyczaj spogląda nań pobłażliwie i zwraca się do gości jakby z pewnem zawstydzeniem:

— Oto mój mąż.

Od ośmiu dni Łaskawa Pani cierpi na spleen. Cierpienie to byłoby jeszcze bardziej dokuczliwe, gdyby na widnokręgu towarzyskim nie zjawił się nagle młody Burton. Młodzieniec ten absorbuje ją do tego stopnia, że nawet od czasu do czasu, choć na krótką chwilę znudzenie, malujące się w pięknie uczernionych oczach Łaskawej Pani, mija i policzki różowiają się rumieńcem ożywienia.

Małżonek jej, zatopiony w myślach, spaceruje po obszernym ogrodzie willi, poczem wstępuje leniwym krokiem na szerokie stopnie werandy, na której właśnie spoczywa Łaskawa Pani na szeszlongu w bardzo malowniczej pozie. Tuż obok siedzi młody Burton, pochylony nad nią może zbyt nisko i intymnie.

Małżonek uśmiecha się i powiada cicho:
— Przepraszam!

Łaskawa Pani obrzuca go spojrzeniem pełnem ironji, poczem wstaje i szybkim krokiem wchodzi do wnętrza domu.

Małżonek zbliża się do młodego Burtona, sadza go siłą na krześle, dobywa z kieszeni

rewolwer, poczem z talji kart wyciąga pikowego asa.

— Niech pan to chwilę potrzyma, — mówi do przerażonego młodzieńca. — Czemuż pan tak zdenerwowany? Chciałem się tylko przekonać, jak to się strzela do celu...

Z westchnieniem ulgi Burton kładzie na stole przestrzeloną kartę.

— Ale zręczność, co? — woła małżonek z triumfem.

— Zdawało mi się, — mówi po chwili, zaciągając się dymem papierosa, — że całował pan moją żonę... Nie mogę powiedzieć, że bym był z tego powodu uradowany. — Sięga po dwa czarne pionki szachów, poczem zwraca się znowu do jeszcze bardziej przerażonego młodzieńca: — Niech pan zgaduje. W jednej ręce trzymam czarnego pionka, w drugiej białego. Jeśli pan wyciągnie czarnego, będzie pan zmuszony w ciągu dwudziestu czterech godzin pożegnać się z tym światem. Gdy wybór pański padnie na białego, wówczas ja będę musiał przyjąć ten wyrok. Całkiem prosta historia, jak pan widzi.

Burton drży ze strachu i po chwili wahania wskazuje na lewą zacisniętą dłoń swego przesładowcy. Małżonek z wyrazem żalu podsuwa mu pod nos czarnego pionka.

— Ogromnie mi przykro. Co panna Nash na to powie?

— Kto taki? — zapytuje Burton ze zdziwieniem.

— No któż? Oczywiście panna Vivian Nash. Przecież pan zamierza się z nią żenić! Widzi pan... a tu nagle tak nieszczęśliwie wypadło! Strasznie mi przykro. Nie, nie mogę wyrządzić takiej krzywdy pannie Nash! Nie jestem zbrodniarzem! Już ożeń się pan z nią, ale daj mi pan słowo honoru, że ślub

wasz odbędzie się w ciągu ośmiu dni. Wówczas to wszystko, co było między nami, zostanie na zawsze zapomniane.

Burton drżącym głosem składa przysięgę, a rozradowany gospodarz radośnie chwytą go w ramiona.

— Słuchaj, kochanie, — woła w stronę Łaskawej Pani, która w tej samej chwili ukazuje się na werandzie. Pan Burton zostaje w tych dniach szczęśliwym małżonkiem panny Vivian Nash...

Łaskawa pani chłodno przyjmuje tę wiadomość.

Burton żegna się pośpiesznie i oszołomiony odchodzi. Małżonek Łaskawej Pani spogląda z uśmiechem za odchodzącym, poczem idzie do telefonu i prosi o połączenie z Londynem.

— Hallo, Vivi? Słuchaj kochanie, jutro ma się zgłosić do ciebie młody Burton. Wiesz, ten z firmy Burton i Synowie. Oświad-

czył mi się o twoją rękę... Pragnie się z tobą ożenić... Wiesz przecież, moja mała, że między nami ostatnio nie było ani odrobiny zrozumienia... Nie denerwuj się, ja osobiście nie mam nic przeciwko temu... Firma Burton i Synowie? Pierwszorzędna... A zatem życzę ci szczęścia, kochanie. Zawiesił słuchawkę, poczem podniósł ją znowu, prosząc o połączenie z innym numerem.

— Nelly?... Tak, to ja, maleńka. Dzięki Bogu, zakończyłem już swoje interesy... Jestem teraz zupełnie do twojej dyspozycji... Wiesz, w dzielnicy Shakefield widziałem małą willę z ogródkiem pełnym białych róż... Pytasz, czy jestem szczęśliwy? No, maleńka, jak ci się zdaje?...

Korpulentny małżonek Łaskawej Pani wraca na werandę, zacierając radośnie ręce i skłonny jest nawet przebaczyć swej żonie jej chwilowe zapomnienie.

Przekład z niemieckiego J. Zawiszy Krasuckiej



NAD KSIĄŻKĄ

Niesłusznie sądzi się, iż krytyk największą rozkosz znajduje w nicowaniu wartości utworu, w rozkładaniu autora „na obie łopatki”. Nie znaczy to, że byśmy chcieli widzieć w krytyku zapalczego chwalcę, pobłażliwego w swych ocenach recenzenta. Między przesadnym, czysto subiektywnym pesymizmem krytycznym a niesmacznym, płaskim panegiryzmem mieści się obszerne pole dla krytyki... rzeczowej, która bynajmniej nie wyłącza chwilowego przechylenia w jedną lub w drugą stronę; ku chwale lub przyganie. Nic przykrzejszego nad mdłe, bezbarwne, czcze ogólniki, unikające dokładności, chowające się za pustymi epitetami, albo też czepianie się nieistotnych szczegółów.

Weźmy na przykład książkę *Michała Choromańskiego*, autora „Białych braci” — powieść p. t. *Zazdrość i medycyna*. Oceniając rzecz powierzchownie, zatrzymując wzrok przedewszystkiem na fabule, mógłby ktoś powiedzieć: — No cóż, nic nadzwyczajnego, jest to jeszcze jedna historia „trójkąta małżeńskiego”: zazdrosny mąż i komplikacje stąd wynikłe... Ba! Ale tutaj nawet sama fabuła posiada wcale ciekawe założenia (głębokie wnikięcie w świat medycyny), poza tem wiele nowych emocyj dostarcza sposób wiązania zdarzeń. Autor wydobywa z rzeczywistości codziennej tylko te czynniki, które dają dziełu gorączkową atmosferę nieustannego stawania się. Jesteśmy w ciągłym napięciu. Choromański operuje krótkimi, konkretnymi obrazami, wywołując niemi wrażenie *niesamowitości*. Przecież, jakże fachowo, z jakąś suchą niemal rzeczowością potrafi obracać się wśród sal operacyjnych, odtwarzać przebieg operacji... Nie dziwota, wszak sam powiada: „W precyzyjnym narzędziu chirurgicznym kryje się więcej patosu, niż we wszystkich lirykach zawiedzionej miłości”. Niema u Choromańskiego gubienia się w drobiazgach, mimo, że uprawia on system podwójnego oświetlania akcji. Przyczynia się to zresztą do wzmoczenia zainteresowania czytelnika: akcja urywa się nagle, na-

stępuje przeskok (wstecz) do innego wątku, związanego z głównym nurtem zdarzeń, po czem znowu docieramy tam, gdzieśmy się zatrzymali.

System podwójnego oświetlania zdarzeń zastosował Maurois w „Klimatach”, złożonych z dwóch części, ujmujących te same sprawy życiowe przez pryzmat dwóch indywidualności. Coś podobnego znajdujemy w *Kłębowskiu żmij Fr. Mauriac’a* (przekł. J. E. Skińskiego). — Najpierw mamy pamiętnik Ludwika, zaciętego w swej nienawiści do rodziny, następnie autor ukazuje nam stosunek rodziny do Ludwika. Punkt ciężkości mieści się w refleksjach owego surowego, dziwnego człowieka, który za cel życia powziął wydziedziczenie żony i dzieci; zwyciężenie ich po śmierci. Ma to być rewanz: źródłem tego ustosunkowania się do otoczenia jest niefortunne pożycie małżeńskie, brak wzajemnego zrozumienia z żoną. Przewrażliwiona ambicja nie pozwala na szczere odsłonięcie serca, na wyjawienie żonie swych wątpliwości i niepokojów. Rośnie więc dokoła niego mur obcości.

W „Kłębowskiu żmij” obserwujemy, jak skutkiem nieudomówień rozplenia się w człowieku nienawiść, pacząc zamierzoną linię życia, naginając jednostkę do obrania zupełnie innej drogi. Jednakowoż Ludwik i tego celu nie osiąga. Żona umiera wcześniej, nie poznawszy nigdy motywów postępowania jej męża, opisanych w pamiętniku tragicznego starca. Ostatnie jego chwile opromienia duchowe przestoczenie pod wrażeniem przeżytych, nieprzewidzianych ciosów.

Styl książki Mauriac’a jest treściwy, reportażowy, że użyjemy tu modnego wyrażenia, — pozbawiony ozdób, lirycznych wybuchów. W porównaniu z Choromańskim — autor „Kłębowska żmij” wydaje się wprost kronikarski. Nie spotykamy u niego tych niespodzianek obrazowych, które zabiegają nam drogę przy lekturze polskiego pisarza.

Nowy zbiór feljetonów *Boya-Zeleńskiego* (*Śmiech, uśmiech i zgroza*) przynosi znaczną

rozpiętość tematów: od spraw historyczno-literackich do obyczajowo-społecznych. Od uwag o Pascalu czy Żmichowskiej aż do „zaufków paragrafów” kodeksu karnego i „piekła kobiet”.

Boy-Zeleński zawsze podchodził do literatury od strony anegdoty życiowej, starał się tłumaczyć dzieła sztuki przeżyciami autora, wpływem okoliczności zewnętrznych na takie a nie inne oblicze twórczości pisarskiej. Obecnie jeszcze bardziej zajmują go problemy obyczajowe. Dzięki zdecydowanej nieufności do wszelkiej frazeologii oraz bystrej trzeźwości sądów — feljetony jego dostarczają cały szereg trafnych obserwacji. Boy z przyjemnością przekłują pęcherze sztucznie nadętej powagi, zdmuchuje niby perz „kanony” podręczników literatury. Można się z tem czy owem ujęciem sprawy nie zgadzać, można odmiennie sądzić jakiegoś zjawiska, ale trudno nie uznać, iż autor zmusza do rewizji bagażu myślowego, wywołuje ferment w zatęchłych piwnicach pojęć.

Charakterystyczne pod tym względem są rozważania o kierunkach literackich, budzących tyle polemik i sporów („Gry słów”): klasycyzm, romantyzm, naturalizm, idealizm i t. p. Boy, podkreślając, iż to, co zrazu stanowi zuchwałą nowość przechodzi niebawem do lamusa historii jako „klasyczne”, kończy swój feljeton z właściwą mu szczerością: „Nie, czuję, że nie dojdę do określenia sobie... co to jest klasyk, co romantyk, co realista, co idealista. I obejdzie się”.

Prawdziwym „pieprzykiem” tego tomu jest rozprawa o śmiechu. Usiłuje w niej Boy stworzyć „własną teorię śmiechu”. — „A mo-

że ja?... — zapytuje... Ostatecznie śmieszyłem ludzi słowem i drukiem, rozkładałem mechanizm komizmu polszcząc kilku największych humorystów świata, obserwuję przez kilkanaście lat w teatrze śmiejącą się publiczność...” — Boy twierdzi, „że istoty śmiechu trzeba szukać w dziecięctwie”... Zdrowe małe dziecko śmieje się bez powodu... Śmiechem reaguje na słońce, powietrze, na grę własnych mięśni, na wszystko. Może to jest radosne zdumienie, odkrywanie świata zjawisk?” — Któżby przypuszczał, że Boyowi nie wystarczą laury piosenkarza. tłumacza, krytyka, polemisty, szermującego o postulaty społeczne, — że poznamy jeszcze Boya... teoretyzującego?

*

Pokażną porcję optymizmu zawiera raport amerykańskiego publicysty, *H. R. Knickerbocker'a* (*Quo vadis Europa*). Po przeprowadzeniu osobistej ankiety w większości krajów europejskich Knickerbocker obiecuje „podniesienie się” Europy. Autor bardzo przejrzyste ujmuje sytuację finansową poszczególnych państw, choć tu i owdzie wydaje nam się, iż przymyka oczy na niektóre trudności. — Wierzy w poprawę sytuacji. Ponieważ jednak w kwestjach ekonomicznych wiara nie wystarcza — stara się zgromadzić wszystkie możliwe argumenty *pro*, wyszukując usilnie faktów, przemawiających na korzyść jego tezy. Jest to metoda nie naukowa, lecz mająca niewątpliwe walory propagandowe. Ażeby z nim polemizować, trzeba być ekonomistą. Natomiast każdy chętnie przeczyta książkę, zwiastującą bliską śmierć... kryzysu.

WYDAWNICTWA NADESŁANE DO REDAKCJI

Michał Choromański: Zazdrość i medycyna. Powieść. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Warszawa.

H. R. Knickerbocker: Quo vadis Europa. Przekł. Rafałowicz-Radwanowej. Nakł. Księg. M. Fruchtmanna.

Fr. Mauriac: Kłębowski imij. Powieść. Przełożył i zaopatrzył przedmową J. E. Skiwski. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Warszawa.

Kornel Makuszyński: „Panna z mokrą głową”. Powieść. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Warszawa

Inż. Benedykt Nawrocki: Personel a marnotrawstwo. Warszawa. Wyd. „Ligi Pracy”

Pamiętniki bezrobotnych. Instytut gosp. społecznej. Warszawa, 1933.

Andrzej Strug: Żółty Krzyż. T. II. Bógowie Germanji. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Warszawa.

Kazimierz Wierzyński: Granice świata. Nowele. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Warszawa.

Tadeusz Żeleński: Śmiech, uśmiech i zgroza. Biblioteka Boya. Warszawa, 1933.

DZIAŁ GRAFOLOGA

Do bezpłatnego korzystania z działu grafologa upoważnione są osoby, nadsyłające przy rękopisie wycinek z *pierwszej strony niniejszego zeszytu i każdego z następnych* (i. strona ogłoszeń), a *mianowicie prawy dolny jej róg*. Szczegółowe przepisy dla nadsyłającego swe pismo do oceny grafologa znajdują się w Nr. 83 na str. 131—132.

ODPOWIEDZI:

„*Hajduk*” — to w całym znaczeniu wyrazu ciwarta głowa. Umysł wszechstronny (orjentacja bardzo szybka), lubi analizę, ale nią nie żyje, bo wabi go nietylko sens, lecz i forma. Większą rzecz rozważy na szerszej płaszczyźnie, naogół nie babra się bez potrzeby. Są wrodzone zdolności dedukcyjne, ale im nie daje pola. Pracować jak i działać wogóle lubi szybko, decyduje się — najczęściej — także bez namysłu. Czynności jego cechuje dokładność, posunięta czasem do drobiazgowości; spełnienie obowiązku uważa za zadanie życiowe i punkt honoru. Nadziany sentymentalizmem tak dalece, że się wierzyć nie chce, iżby to była męska psyché, ale sądy bywają jak cięcia brzytwy. Wrodzona porywczność, wybuchy jej równoważy (wynagradza) większa od niej szlachetność duszy. Wymagać potrafi dużo — w korbach utrzymać się nie umie. Poglądy trzeźwe, ale nierealne. Kardynalną wadą jest tu brak samokrytycyzmu oraz dziadowska gospodarka. Chodząca zacność i niepraktyczność zarazem.

„*Rosso*” — wrodzone sobkostwo — trzeba je zastąpić rozumnym altruizmem. Umiarkowanie bardzo lubi i we wszystkim stosuje. Uwagi brak. Cierpliwy, dogodzić mu jednak nie łatwo. Szanuje każdy drobiazg, którym się posługuje, o wrodzonych zdolnościach do rozumnej (celowej), przewidującej gospodarki niema mowy. Umysł posiada bystry, brak woli, zdecydowania i sprężystości — trudno mu się rozhustać, ale zato gdy się do czegoś zabierze, to nie żartuje. Umie trzeźwo spojrzeć na ważną sprawę, w codziennym życiu stosuje przyzmat serca. Zdradza wogóle delikatność uczuć, to też dobrocią i delikatnością można z nim wszystko zrobić. Dbą o estetykę, nie zdradzając próżność, ani zamiłowania do zbytku. W pracy dokładny. Prawdomówny, ale zamknięty w sobie — kryć się nie zwykł, trzeba go jednak pytać, bo sam mówić nie lubi. Ma dużo dobrych zadatków i wogóle tkwi w nim siła, a za mało jest energii w kierunku wyładowawczym.

(*Ciąg dalszy w Nrze następnym*)

Obowiǳkiem uczestników „Działu grafologa” jest nadsyłanie rzeczowych krytyk otrzymywanych ekspertyz grafologicznych, ich uosobienia. Prosimy o to łaskawie pamiętać.

Osoby, życzące sobie załatwienia w drodze listownej, mogą nadsyłać rękopisy (odpowiadające wszystkim warunkom wymienionym w n-rze 83 „Naokoło Świata” strona 131—132) przeznaczone do analizy pod adresem: Bronisława Łyszczarz, Warszawa, Marszałkowska 53a m. 31. Warunki: wycinek z ostatniego numeru „Naokoło Świata”, oraz kwota zł. 5 — plus porto (według życzenia, na list zwyczajny lub polecony). W tym wypadku zbędne są pseudonimy, natomiast potrzebny jest adres prywatny lub poste-restante.

